MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 35. WARSZAWA, 19 SIERPNIA 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

PAKTY I SOJUSZE

POWIADAJĄ mi tak: Poco tyle namysłu i dyskusji z powodu projektu paktu wschodniego? Przecież takie zobowiązanie pokojowe szeregu państw nie może zaszkodzić sprawie pokoju. A zresztą, gdyby nie miało żadnego znaczenia, to jeżeli tak na tem zależy naszym przyjaciołom Francuzom, to zróbmyż im tę nic nas nie kosztującą przyjemność! Zastanawiając się i dyskutując, narażamy się na podejrzenie, że chcemy dogodzić Niemcom, którzy takiego paktu wcale sobie nie życzą!

Rozumowanie takie jest błędne, sprzeczne jest bowiem z doświadczeniem, które uczy, że w polityce żaden krok nie pozostaje bez następstw, trzeba też zawsze zastanawiać się nad tem, czy następstwa te będą złe, czy dobre. Jest to tak dalece prawdziwe, że np. ów pakt wschodni, choć nikt nie zna jeszcze jego projektowanej treści, wywołał już cały szereg następstw politycznych, wcale dla państw wschodnich nie obojętnych.

*

Projekt paktu wschodniego nie jest czemś nowem, bez precedensów. Należy on do modnego po wojnie gatunku umów, różniących się od znanych oddawna sojuszów tem, że nie są zawierane między państwami, mającemi wspólne interesy określone i jasne, lecz między państwami o różnych interesach w imię jednego celu — zachowania pokoju. W sojuszach są wskazywane szczegółowe ich cele, mają one sens, jeśli są oparte na porozumieniach wojskowych i jeśli są skierowane przeciw komuś. Sojusze są wynikiem doświadczeń dziejowych; gdy się je zawiera, to się wychodzi ze stwierdzonej doświadczeniem prawdy, że wojny były, są i będą i że jedynem przed niemi zabezpieczeniem jest być silnym i mieć przymierza z silnymi i mającymi podobne interesy. Oto, naprzykład, sojusz francusko-polski opiera się na szeregu prawd dziejowych, takich mianowicie: Niemcy w ciągu stu lat trzykrotnie urządzali najazd na Francję, Niemcy prą na wschód i nie godzili się nigdy z faktem odsunięcia ich od morza Bałtyckiego i utratą ujścia Wisły; jedynym sposobem powstrzymania podobnych zapędów niemieckich jest porozumienie zagrożonych przez nich sąsiadów, porozumienie, oparte na umowach wojskowych, przewidujących co każdy z sojuszników ma zrobić w razie wywołania wojny przez Niemców... Sojusz francusko-polski jest tedy czemś realnem, praktycznem, opartem na doświadczeniach i przewidywaniach, zgodnem z doświadczeniem powszechnem i ze znajomością historji i geografji Europy, słowem czemś na serjo, czemś rozsądnem i rozważnem.

Modne dziś natomiast pakty są oparte na t. zw. ideologji Wilsonowskiej, na przypuszczeniu, że wojny były i są, lecz że ich może nie być; wystarczy, ażeby ewentualni uczestnicy wojny podpisali dokument, że są wojnie przeciwni... Przypuszczenie takie jest w jawnej sprzeczności z doświadczeniem dziejowem, jest złudzeniem, za które zapłacą drogo ci, co mu ulegać będą. Takiem narzędziem, usuwającem wojny z życie ludzkości całej, miał być pakt powszechny Kellogga i Brianda. Ileż zaś po nim było wojen? Ładnieby wyglądali ci, co ufając temu paktowi, zaniechaliby zbrojeń i sojuszów! Najlepszym dowodem bezwartościo-

wości tego paktu jest, że ciągle wyrastają pomysły paktów nowych, które mają lepiej zabezpieczyć poszczególne państwa, niż dokument, wymyślony przez pp. Kellogga i Brianda. Pakty, w przeciwstawieniu do sojuszów, są wytworem złudzeń, opartych na ideach, które miały kurs powszechny w wieku XIX, które są uznane przez loże i które wydały traktaty z r. 1919. Stosowanie życia do złudnych idej grozi zawsze bolesnemi dla tego życia następstwami. Pakty nowoczesne należą do kategorji zabiegów pacyfistycznych, pacyfizm zaś, jak wykazał szereg doświadczeń, jest najpewniejszą drogą do wojny.

*

Projektowany pakt wschodni nosi także nazwę Locarna wschodniego. I słusznie, bo jest oparty na tych samych zasadach — na zobowiązaniu pokojowem szeregu państw i na gwarancjach, danych przez te państwa, że wezmą udział w przywróceniu pokoju. Czyż Locarno zachodnie wywołało poczucie bezpieczeństwa w Europie? Chyba nie, skoro ciągle są pomysły nowych, lepszych paktów. Czy mogło takie poczucie wywołać? Oczywiście że nie, bo jest czemś iluzorycznem, zarówno jeśli chodzi o zaufanie do dobrej wiary podpisujących, ewentualnych sprawców zatargu, jak i o możliwość wykonania swych zobowiązań przez gwarantów. Czy można wierzyć, że Niemcy będą honorowali swój podpis, skoro się ma w świeżej pamięci pogwałcenie przez nich zobowiązania uszanowania neutralności Belgji? Czyż można brać na serjo zobowiązania Anglji lub Włoch wkroczenie w razie naruszenia pokoju nad Renem, jeśli się zważy, że wkroczenie takie musiałoby być przygotowane przez porozumienie się sztabów tych państw równocześnie ze sztabem francuskim i niemieckim — na wszelki przypadek?

Pozytywnie niema przeto Locarno zachodnie żadnego znaczenia, negatywnie natomiast stało się pełnem znaczenia posunięciem politycznem. Boć z Locarna zachodniego wywinęło się przedterminowe opróżnienie Nadrenji, które zdecydowało o biegu dziejów Europy powojennej. Ewakuacja Nadrenji wyzwoliła z więzów politykę niemiecką, była warunkiem odbudowania sił Niemiec, przyśpieszyła dojście do władzy nacjonalizmu w Niemczech. Skutki ważne, tylko zupełnie inne, niż te, jakich się spodziewali zwycięzcy z wojny lat 1914 — 1918. Skutki takie, jakich się spodziewał przewidujący polityk Stresemann.

Pakt Kellogg-Briand i pakty locarneńskie są znakomitemi przykładami pustki wewnętrznej paktów (nazwijmy je na cześć wielkiego iluzjonisty — wilsońskiemi), oraz ich szkodliwości dla tych, co je biorą na serjo.

*

Z owej idelogji wilsonowskiej zrodził się także projektowany pakt wschodni — jest malutkim paktem Kellogga, jest przeniesionem na wschód Europy Locarnem zachodniem. Podobnie pozbawiony znaczenia realnego, przewidywanego przez projektodawców, podobnie brzemienny niebezpieczeństwami dla tych, co się łudzą, że będą mieli z niego korzyści. Bo są dwie możliwości — albo Niemcy pakt podpiszą, albo nie podpiszą. W drugim wypadku niema pakt żadnego znaczenia, chyba że się zamieni w sojusz pozostałych państw. W pierwszym zaś nie będzie miał tego znaczenia, którego się dopatrują inicjatorzy; bo albo zgodnie z doświadczeniem nie będzie dana wiara podpisowi niemieckiemu, a wtedy poco pakt; albo też podpisujący zaufają Niemcom i wyciągną z tego wszystkie konsekwencje, to znaczy zgodzą się na równouprawnienie Niemiec w zakresie zbrojeń, a sami zaczną się rozbrajać. To ostatnie zaś będzie powtórzeniem się — *mutatis mutandis* — następstw Locarna zachodniego...

*

Polacy zaś mogą powiedzieć słowami bajki: „dla was to jest igraszką, nam idzie o życie"! Polska jest najbardziej zainteresowana całą sprawą, byłaby podmiotem i przedmiotem paktu. Wszak Polska jest wystawiona przedewszystkiem na niebezpieczeństwo ataku ze strony Niemiec, Polska musiałaby wszystkie swe siły rzucić na szalę w razie zatargu, Polska byłaby terenem wojny, Polska ryzykowałaby swój byt państwowy! Polityka polska pracowicie buduje podstawy swego bezpieczeństwa przez sojusz z Francją, przez sojusz z Rumunją, przez unormowanie stosunków z Niemcami, przez zbliżenie z Rosją. Wszystko to są zabiegi polityczne, oparte na założeniach starej daty, zgodnych z doświadczeniem dziejowem. Nagle, nie porozumiawszy się z czynnikiem najbardziej zainteresowanym, stanowiącym podstawę całego układu w Europie wschodniej, wychodzi się z projektem uregulowania wszystkiego sposobem, którego jawne braki i złudność wypróbowano już gdzieindziej. I wymaga się, by Polska przeciągnęła mokrą gąbką projektowanego paktu po tablicy, na której pracowicie wypisano szereg traktatów i porozumień... Byłoby lekkomyślnością ze strony polityki polskiej bez zastanowienia poświęcać rzeczy realne dla złudzeń.

*

Dwa są źródła projektowanego paktu: tradycje nieszczęsnej polityki briandowskiej we Francji i doktrynerstwo polityki zewnętrznej Sowietów.

We Francji pokutuje jeszcze myśl zabezpieczenia się od najazdu niemieckiego przez pakty, w których stroną byłyby Niemcy. Nie wystarcza pakt Kellogg-Briand, nie wystarcza Locarno zachodnie, nie udał się pakt ogólno-europejski, więc może lepsze będzie Locarno wschodnie? Tymczasem wszystko to są jednakowe ułudy. Jedynem za-

bezpieczeniem są sojusze i siły własne. Przykra to prawda, lecz prawdziwa.

Polityka sowiecka, zarówno wewnętrzna, jak zewnętrzna, jest bardzo realna, lecz wychodzi z ogólnych ideologicznych założeń — mglistych i nierealnych. A więc — Sowiety organizują starannie swe siły zbrojne, poszukują sojuszów według starej modły; lecz równocześnie głoszą pacyfizm skrajny i potępiają metody starej dyplomacji. Ich armja jest przeto armją proletarjatu i stróżem pokoju, a ich sojusze muszą mieć pozory zgodne z ideologją pacyfistyczną.

Polityka sowiecka musi sobie zabezpieczyć spokój i pokój na zachodzie, politycy sowieccy rozumieją doskonale, że do tego jest im potrzebne nietylko porozumienie z Polską, lecz także porozumienie z Francją. Z Polską mają pakt o nieagresji, sojusz z Francją chciałyby zrobić pod osłoną paktu wschodniego.

Bardzo to wszystko ładnie. Szczerze pragniemy bezpieczeństwa Francji, siła Francji jest naszą siłą, sojusz z Francją jest dziś dogmatem polityki polskiej. Szczerze pragniemy trwałego porozumienia z Rosją i współpracy z Sowietami na terenie międzynarodowym. Piszący te słowa ma za sobą długie lata walki publicystycznej i parlamentarnej o zasadę, że polityka porozumienia z Rosją jest punktem wyjścia dla całej polityki zagranicznej Polski. Lecz z tego nie wynika wcale, aby dla zadośćuczynienia złudzeniom francuskim i dla ułatwienia politykom sowieckim sharmonizowania ich realnych dążeń z ich nierealną ideologją poświęcać interesy polskie i współdziałać bez zastrzeżeń w robieniu czegoś, co nie da istotnych korzyści ani Francji, ani Rosji.

*

Jeszcze się pakt wschodni nie narodził, a już narobił zamętu w Europie wschodniej. Wizyta p. Barthou utrwaliła sojusz Polski z Francją, porozumienie z Rosją rozwijało się prawidłowo; pakt z Niemcami unormował z niemi stosunki; pod naciskiem konieczności zaczęła Litwa rozumieć, że jej stosunek do Polski staje się anachronizmem, słowem szło ku uspojeniu w naszej części Europy. Nagle i niespodziewanie zjawił projekt paktu, który ma spacyfikować Europę wschodnią. Jeszcze nie jest znana jego treść i zasięg, a już widzimy szereg zjawisk na horyzoncie politycznym. Oto część prasy francuskiej atakuje Polskę za to, że nie śpieszy się z wypowiedzeniem co do paktu; między Francją a Polską jest wyraźne zaognienie, na którego tle nawet takie sprawy, jak zatarg o Żyrardów lub też wydalenie kilku górników polskich z Francji, zaczynają nabierać zabarwienia politycznego. W pismach rosyjskich zjawiają się wystąpienia przeciw Polsce, pomawianie polityki polskiej o współdziałanie z Niemcami (*„Journal de Moscou"*) i t. d. Co najważniejsza zaś, wzbudził projekt paktu i zabiegi sowieckie w Kownie nowe nadzieje na Litwie. Możliwość unormowania stosunków polsko-litewskich bardzo się oddaliła. Słowem na terenie Europy wschodniej zakotłowało się, wypłynęły różne niepokoje, nieporozumienia i nieufności, co ani się nie przyczynia do pacyfikacji tej części naszego kontynentu, ani też nie wzmacnia i nie harmonizuje sił przeciwstawiających się Niemcom.

*

Wracamy do początku niniejszych uwag. W polityce nic nie przechodzi bez następstw, nic się nie dzieje bezkarnie, zwłaszcza budowanie na fałszywych ideach.

Sojusze są wypróbowanem narzędziem polityki międzynarodowej, są oparte na doświadczeniu i na realnem pojmowaniu życia. Nowomodne pakty, wyrosłe z ideologji pacyfistycznej, wykazały dotychczas tylko swą złudność i szkodliwość. Jest przeto rzeczą wskazaną dla polityki polskiej, by się odnosiła z wielką ostrożnością i przezornością do pomysłów, które dorobek realny chcą zburzyć w imię ułudnych nadziei.

STANISŁAW KOZICKI

ZAGADNIENIE RAS W SZKOLE POLSKIEJ

ZAGADNIENIE ras budzi coraz silniejsze zainteresowanie w dobie współczesnej. W zagadnieniu tem jednym z głównych rozdziałów jest skład inteligencji, jako warstwy nadającej w głównej mierze kierunek życiu narodu. Prowadząc od szeregu lat badania nad młodzieżą szkolną, chcę tu zestawić wyniki mych spostrzeżeń w odniesieniu do absolwentów szkół średnich, oni bowiem stanowią kadry inteligencji w najszerszem znaczeniu.

Oczywiście, jak wszystkie wielkie narody, tak i nasz nie przedstawia się jednolicie pod względem rasowym, lecz jest zbiorem kilku typów o rozmaitych właściwościach tak cielesnych, jak duchowych. W większej ilości występuje rasa północna, sarmacka czyli subnordyczna, alpejska, presłowiańska cz. sublaponoidalna i dynarska, inne, jak północno-zachodnia, laponoidalna, litoralna, przednio- i centralnoazjatycka są znacznie rzadsze (Czekanowski). Te same typy występują i wśród młodzieży gimnazjalnej, ale stosunki ilościowe nie są prostem odbiciem ogółu, lecz kształtują się w sposób swoisty. Wszędzie widzimy silną przewagę typu sarmackiego, który z wyjątkiem Pomorza, gdzie na czoło wysuwają się nordycy, zdobywa większość względną, a na Podlasiu nawet bezwzględną. Typ ten, jak ongiś wśród gminu szlacheckiego, tak dziś przeważa wśród





naszej inteligencji, on też głównie daje podstawę dla ogólnej charakterystyki Polaków, tem więcej, że dzięki swej żywości usposobienia i towarzyskości bardziej rzuca się w oczy, porywa innych, a przy znacznej ruchliwości częściej też jawi się wśród obcych. On też, można powiedzieć, stanowi żywioł łączący w jedność, bez względu na dzielnice, gdy inne typy powodują bogactwo i rozmaitość regjonalną, a w pewnym stopniu także zróżnicowanie społeczne i specjalizację zawodową.

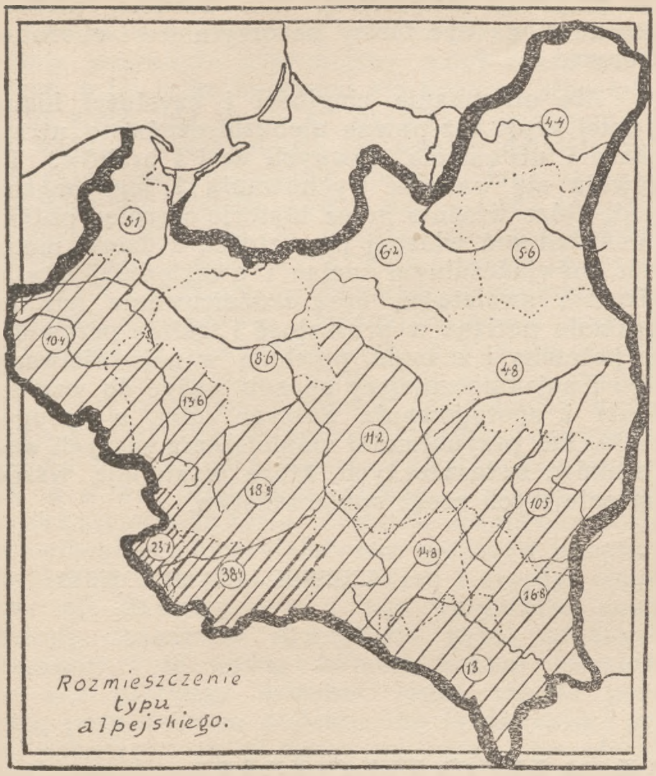
Inaczej inne rasy. Rasa północna ze swego centrum, które na naszych ziemiach stanowią Pomorze i Wielkopolska, ciągnie się dwiema smugami na wschód, zwłaszcza wyraźnie występującemi przy oparciu się na mapie historycznej z dawnym podziałem administracyjnym województw. Jedna smuga, południowa odpowiada szlakowi Bolesława Chrobrego w jego wyprawie na Ruś, druga, północna, traktowi Batorego. Z historji wiemy, że nie są to kierunki przypadkowe, lecz drogi wojenne armij naszych i obcych, szlaki kozackie i tatarskie, linje marszów Karola XII i Napoleona, cara Aleksego, Chowańskiego i Dybicza, aż do współczesnych wypraw Piłsudskiego z jednej, a Tuchaczewskiego i Budiennego z drugiej strony. Ale to nie tylko trakty wojenne, lecz też kierunki trwałych zdobyczy kulturalnych Bolesławów, Kazimierza Wielkiego i Polski Jagiellonów, licznych rodów magnatów i średniej i drobnej szlachty. Polesie, jak widać z mapy, stanowi zaporę i teren niepociągający, więc wolny od ekspansji i imigracji tak wojennej, jak pokojowej.

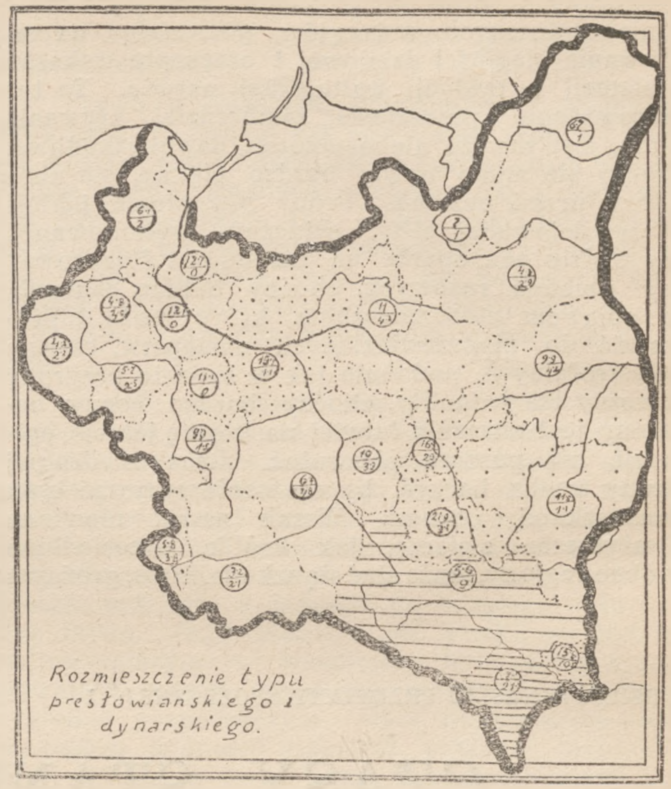
Całkiem odmienny obraz daje mapa rasy alpejskiej. Gdy nordyczna wykazuje wyraźne szlaki pochodu, alpejska daje przykład infiltracji stopniowej, koncentrycznej. Z ośrodka, który stanowi Krakowskie ze Śląskiem, rozchodzą się wpływy dookoła, malejące w miarę odległości.

Odmienne rozprzestrzenienie się obu tych typów można, zdaje mi się, związać z różnem usposobieniem, innemi skłonnościami i upodobaniami wyrażającemi się też w wyborze zawodu. Jak wykazują badania dra K. Stojanowskiego, pierwiastki północne dominują wśród dawnej szlachty i oficerów, a typ alpejski najobficiej występuje w zawodach kupieckich i rzemieślniczych. Rozprzestrzenienie rasy północnej, to szlaki zdobyczne naszej szlachty nie tylko mieczem, lecz, — może bardziej — pługiem od czasów piastowskich Polan z nad Gopła i Warty po czasy ostatnie. Rozmieszczenie natomiast rasy alpejskiej, to znów następstwo pokojowego rozprzestrzeniania się naszego mieszczaństwa od Bramy Morawskiej.

Znowu inaczej typ presłowiański. Mimo wcale szerokiego zasięgu i obfitości, zwłaszcza wśród proletarjatu, w gimnazjach występuje dość skąpo, co więcej, cofa się w miarę postępu klas. Pozostaje to w związku z mniejszemi uzdolnieniami intelektualnemi, więc też nielicznie będzie on reprezentowany wśród inteligencji. Natomiast z powodu znacznej wytrzymałości, siły i wytrwałości dużo tego żywiołu wśrod robotników fizycznych, więcej go też, jak przekonałem się, w szkołach zawodowych dokształcających. Oczywiście trafiają się wyjątki, nawet wybitnie utalentowane.

Rozprzestrzenia się ten typ na obszarach od dolnego biegu Wisły, zwłaszcza po prawym brzegu, przez Mazowsze, wzdłuż Bugu na Wołyń i Podole, a częściowo i Polesie. Na mapie historycznej główna jego smuga godzi się wyraźnie z przedziałem Rzeczypospolitej, stanowiąc jakby straż graniczną Korony. Naogół trzyma się terenów jałowych, gdzie inny żywioł, mniej zawzięty i wytrzymały, lub bardziej wygodny i wymagający nie potrafi się utrzymać, dalej w okręgach przemysłowych wśród ciężko pracujących robotników, wreszcie na kresach jako potomkowie dawnej piechoty łanowej, gdzie niegdyś, dzięki swej dzielności, zdobywali nieraz stopnie oficerskie i nobilitacje, a dziś w okresie demokratyzacji infiltrują





„warstwy wyższe". Naogół jednak wśród inteligencji są elementem raczej cofającym się, procent tego typu maleje w miarę postępu klas, stąd też rozprzestrzenienie nieregularne, poszarpane, zależne od siły i kierunku ekspansji innych ras.

Podobnie rozprzestrzeniony, tylko jeszcze słabiej, czysty typ laponoidalny, blisko zresztą spokrewniony z poprzednim.

Natomiast typ dynarski, najobficiej występujący w gimnazjach województwa stanisławowskiego, w swem rozprzestrzenieniu wykazuje cechy tak alpejskie, jak nordyczne. Na północ jednak ekspanduje silniej, niż ku zachodowi, między ludność lechicką. Wśród ogółu ludności okazałaby się zapewne wyraźniejsza smuga w górach, niż na nizinach, uboga jednak ludność góralska nie dostarcza znaczniejszych zastępów młodzieży do gimnazjów, zwłaszcza polskich. W każdym razie nowotarskie, nowosądeckie wykazują wyraźniejszy odsetek tego typu wśród młodzieży okolicznej.

Dokładniejsza analiza tych stosunków wykazuje wielką prawidłowość, tak że z pewnem przybliżeniem można wyprowadzić nawet formuły liczbowe. Okazuje się bowiem, że od pewnego ośrodka, gdzie zagęszczenie jest największe, skupienie maleje w postępie geometrycznym w stosunku do odległości. Spadek ten zależny jest od prężności danego typu rasowego z jednej, a od oporu środowiska z drugiej strony. Obraz staje się zawilszy, gdy wystąpią pewne planowe migracje, czy przesiedlenia wzdłuż określonych szlaków w oznaczonym celu. Wtedy do czynników wspomnianych trzeba dołączyć pewne czynniki psychiczne, jak wola wodzów, tradycja, moda, agitacja.

Uzyskany przezemnie wzór empiryczny odpowiada wzorowi, określającemu proces rozpuszczania się ciał krystalicznych. Oba też zjawiska wykazują duże analogje, jak znów wypieranie pewnych typów może być zestawione z procesem strącania. Natomiast zachowanie się żywiołów obcych, jak u nas żydów, przypomina zjawiska wśród ciał niekrystalicznych, ich nadmiar w miastach można porównać z objawem pęcznienia.

Chcę jeszcze zwrócić uwagę na dwa szczegóły. Jeden, to fakt, że nasza inteligencja rodzima składa się z tych samych żywiołów, co ogół, w szczególności warstwy pracujące fizycznie, a różnice są tylko ilościowego charakteru. Jest to bardzo ważne z uwagi na wzajemne rozumienie się i współpracę, a wszelkie zwichnięcie przez wprowadzenie żywiołów obcych, np. żydów, może być bardzo niepożądane, doprowadzić do nieporozumień i wstrząsów. Przykład Rosji winien być ostrzeżeniem, praktyczni Niemcy wyczuli to niebezpieczeństwo, choć ono u nich mniejsze, niż w Polsce.

Druga rzecz. Procesy selekcyjne dokonywające się w dzisiejszych szkołach średnich, powodują, że przez gimnazja do warstw inteligencji dostają się w ogromnej przewadze pewne elementy określone, które i dawniej charakteryzowały naszą inteligencję, więc w pewnym stopniu mieszczaństwo (typ alpejski), a przedewszystkiem szlachtę (element nordyczny), zwłaszcza drobną (typ sarmacki). Ponieważ selekcja ta jest wynikiem odmiennych uzdolnień wrodzonych poszczególnych typów, a równocześnie dokonywa się wśród żywiołów rodzimych, należy uważać ją za objaw naturalny, zgodny z przyrodzonem podłożem rasowem, a jakaś sztuczna interwencja w odmiennym kierunku byłaby nie tylko niepożądana, ale zgóry skazana na niepowodzenie.

Ten fakt ewolucyjnego, a nie rewolucyjnego uzupełniania się inteligencji naszej ma doniosłe znaczenie społeczne w procesie naturalnej demokratyzacji narodu. Zasadniczo jest objawem nader pomyślnym, utrzymuje bowiem wysoki poziom społecznej elity i bez uciekania się do przewrotu powiększa skutecznie jej zakres rekrutacyjny. Może nas ochronić od wielu niepotrzebnych i niedo-

stosowanych prób, chybionych eksperymentów i niebezpiecznych wstrząsów, pozwalając na zachowanie ciągłości dziejowej i czerpanie wskazań z historji i tradycji kulturalnej narodu. To też lekceważenie przeszłości, tembardziej zrywanie z nią, jest zawsze niebezpieczne, nawet szkodliwe, choćby się miało nawet bardzo piękne, ale obce wzory przed oczyma. Próby stworzenia jakiejś uprzywilejowanej elity, sztucznie wyhodowanej, czy będzie ona oparta na zasobności finansowej, czy cechach rasowych, choćby bardzo cennych, są objawem niebezpiecznym, który może doprowadzić do nieprzewidzianych następstw, czasem katastrofalnych, podobnie jak w świecie przyrody sztuczny las jednolity, choćby bardzo cenny, narażony jest znacznie łatwiej na klęskę jakiejś epidemji, niż puszcza pierwotna. Lecz z drugiej strony trzeba baczyć, by nie zanieczyszczać typu domieszkami obcemi. Wszak nawet niewinne i użyteczne zwierzę, jak królik, przesiedlone w obce regjony, może stać się szkodnikiem, groźnym dla przyrody miejscowej, tem bardziej niebezpieczne mogą być formy pasorzytnicze i chorobotwórcze.

Ale utrzymanie ciągłości i czystości historycznej kryje też pewne niebezpieczeństwo utrzymania i utrwalenia dawnych wad i braków. Tu ujawnia się ważność wychowania i jego organizacji, które właśnie przez historję czerpiąc obficie z doświadczeń własnej przeszłości, a dzięki metodom doświadczalnym znając i uwzględniając właściwości, swoistości, oraz zróżnicowanie narodu, rozumnie patrząc w przyszłość i trafnie przewidując potrzeby i zadania, powinno w najwłaściwszy, więc i najskuteczniejszy sposób dążyć do wzmocnienia i spotęgowania naszych zalet, a wyrugowania, lub przynajmniej zmniejszenia naszych wad i braków, zwłaszcza tych, które występują wśród znaczniejszych rzesz społeczeństwa.

LUDWIK JAXA BYKOWSKI

Z DZIEJÓW NASZEJ PRZEMIANY SPOŁECZNEJ: I

CZASY STANISŁAWOWSKIE

CYKL naszych przemian społecznych zaczynają czasy Stanisławowskie, i to największą chyba ze wszystkich: — narodzinami samego społeczeństwa.

Jego przedtem nie było. Czasy saskie znały tylko stany, rozbite i odseparowane; każdy żyjący sam dla siebie, a nawet więcej, bo sam rozczłonkowany. Każde miasto, każda ziemia, każde województwo żyło samo dla siebie. Sejm żaden nie dochodził do skutku, sejmik był najwyższą instancją. O jakichś wzajemnych stosunkach między prowincjami i stanami, ani mowy nawet być nie mogło — przesądy, złe prawa i zaściankowość wszelkie, nawet najbardziej nikłe więzy udaremniały; domatorstwo, wyniesione do godności ideału, zabiło jakiekolwiek życie łączne, i na dobrą sprawę nie było wtedy ani państwa, ani społeczeństwa, ale szereg dworów magnackich i szlacheckich, myślących każdy tylko o sobie.

Epoka Stanisławowska już całkiem inny obraz przedstawia. Mamy w niej nowoczesne państwo z rządem, sejmem, konstytucją; mamy społeczeństwo, które, choć zorganizowane stanowo, jest jednak zorganizowane a nie zatomizowane; mamy wreszcie naród, świadomy swych celów, walczący o swój byt polityczny i zapatrzony w wielkie ideały. — Przemiana zdumiewająca, zarówno swoją szybkością, jak rozmiarami, a wywołać mógł ją tylko wielki i konsekwentny wysiłek. Wysiłek przedewszystkiem króla i tego pokrewnego mu duchem pokolenia, które z nim razem doszło do władzy, a za cel postawiło sobie budowanie „nowej Polski". Król odznaczył się tu wszechstronnie i wytykając mu wszystkie, rozliczne jego wady, nie zawahał się Brückner postawić go obok Kazimierza Wielkiego, jako jedynego równej mu miary budowniczego kultury jaknajszerzej pojętej. W przebudowie społecznej Stanisław August odegrał nietylko pośrednią rolę, jako promotor nowych prądów, ale także wręcz bezpośrednią, choć tutaj tylko napoły celową. Mam tu na myśli jego politykę nobilitacyj i indygenatów, jednolitą przez cały ciąg panowania i nie pozbawioną pewnej wyraźnej myśli. Myślą ta była dążność do wprowadzenia między szlachtę, a co za tem idzie do polityki, jaknajwiększej liczby swoich, gotowych poprzeć wszystko, co wychodziło od tronu i zwiększających obóz reformy — przeciwko obozowi bezruchu. To tłumaczy także i charakter królewskich dyplomów, obok — Bacciarellego, Albertrandiego, Norblina, Czerwiakowskiego, Bakałowicza, Czakiego i innych, ludzi istotnie zasłużonych — w szlachtę wciskali się tacy jak: Boscamp, Ryx, Corticelli i tym podobne typy; król bowiem potrzebował nietylko uczonych czy malarzy, ale także i innego rodzaju dworaków. Jakie usługi były królowi potrzebne, i jak były nagradzane, o tem dobrze poucza w swym pamiętniku rozgoryczony Reverdil.

Sypał więc Stanisław August na prawo i na lewo indygenatami i nobilitacjami, by wzbogacić pustą kancelarję, nagrodzić istotną zasługę, prowadzić pewną politykę, czy wreszcie wywdzięczać się za różne, bardzo rozmaite przysługi. Indygenaty dawał nawet takim, „którzy nigdy probować nie mogli, że byli gdzie szlachtą", jak się żali Moszczeński. Na wszelkie sposoby starał się obchodzić wymagające i zazdrosne tutaj prawo, a za podstawę służyła mu konstytucja z 1766 r., pozwalająca kancelarji królewskiej na wydanie dziesięciu dyplomów szlacheckich bez wiedzy sejmu, ale tylko osobom, uchodzącym powszechnie za szlachtę i ze szlachtą spokrewnionym. Wydano takich dyplomów kilkaset i zgoła nie oglądając się na żadne warunki. Czasy jednak się zmieniły i mimo sarkania nie doszło z tego powodu do skandalu. Cóż za różnica z erą saską, gdy wszechwładny Brühl musiał się uciekać do kłamstwa i udawać

potomka Ocieskich! — Teraz każdy dostojnik saski uzyskiwał indygenat bez żadnych trudności, a byle przybłęda zagraniczny mógł także na to liczyć, o ile tylko spodobał się królowi, albo miał ładną żonę; tak było z „hrabią" Tomatisem. — W każdym razie, dzięki tej swojej działalności, przyczynił się król walnie do przemiany społecznej; stworzył niejako nowy stan — stan szlachty miejskiej. Szlachta ta stanęła jako coś pośredniego między miastem a wsią i przez to samo stworzyła atmosferę wzajemnego przenikania się, przedtem niemożliwą. Oczywiście, żaden wysiłek królewski nie dokonałby tego, gdyby nie współdziałały tu jeszcze i dwie inne siły — rozwój polityczny państwa i rozwój gospodarczy kraju. Rozwój polityczny—to przedewszystkiem unowocześnienie budowy państwowej. Powstaje administracja, a z nią wielorakie urzędy, przez co powoli zanika atomizacja życia. Powstaje szkoła narodowa ze świeckiem nauczycielstwem; wielka (w stosunku do czasów saskich) armja, skarb i urzędy celne, inne niż dawniej, — a z tem wszystkiem nowe zawody, obsadzane skwapliwie przez głodnych szaraków i tę nową, świeżej kreacji szlachtę. Po raz pierwszy szlachta szuka zajęcia poza wsią, poza dworem pańskim, czy królewskim i poza palestrą, — a szukając go sięga po płatny urząd państwowy; tworzy się nowy typ urzędnika zawodowego, a nie honorowego. W nowej atmosferze zanikają archaiczne formy bytowania: — wielki dwór pański, który ma coraz mniej do roboty i to dawne „wolno w Polsce jak kto chce"; Polska przestaje być pepinjerą magnatów, — niby wprawdzie wyrośli jeszcze Braniccy i Ponińscy, ale to już ostatki, a Poniatowscy to raczej „książęta krwi".

Pęd do reform państwowych jest tak silny, że nic go nie zdołało zahamować. Każdy sejm, nawet najbardziej sprzedawczykowski i „rosyjski", przynosi tu coś dobrego. Konwokacja Czartoryskich tworzy, obok szeregu innych reform, komisje: wojskową i skarbową, które pozostały jako departamenty Rady Nieustającej i ustala porządek rozpraw na sejmie. Sejm z 1768 roku odsuwa gołotę od sejmików (co zresztą często jest jeszcze łamane) i tworzy komisje porządkowe dla miast. Sejm rozbiorowy Stackelberga i Ponińskiego z lat 1773 — 1775 daje Radę Nieustającą, uznaje handel za zajęcie dozwolone dla szlachcica, usuwa szlachecki przywilej celny, a przedewszystkiem tworzy komisję Edukacji Narodowej, pierwsze na świecie ministerjum oświaty. Sejm z 1776 znosi karę śmierci za czary, usuwa tortury ze śledztwa, poddaje zwierzchnictwu Rady Nieustającej całą administrację, przez co zapewnia jej jedność i sprężystość i odtąd już Polska „nierządem nie stoi". Wreszcie sejm wielki — ten najbogatszy we wszechstronne reformy.

Jeszcze szybszy, bo niepohamowany jest postęp gospodarczy; — wyrasta miasto jako czynnik życia narodowego, a nowa, ruchliwa gospodarka przyczynia się do niwelacji stanów.

I tu hasłem jest ciągły ruch i czasy stanisławowskie odbiegły w tym ruchu znacznie od saskich; upowszechnia się sprzedawanie i hypoteczne obciążanie dóbr, sarmacki mit rodowego majątku zostaje walnie poderwany; tworzy się nowa hierarchja pieniądza, powstają nowe majątki, nieoparte wyłącznie na ziemi — fortuny raptownie rosną i raptownie upadają; na widownię wkracza kapitał i rok 1766 przynosi nam pierwsze towarzystwo akcyjne.

Prawo o miastach, uchwalone 17 kwietnia 1791 roku, — uznaje już nowy stan rzeczy. Miasta dostają przedstawicielstwo polityczne, a mieszczanie prawa awansów wojskowych i kupowania dóbr ziemskich (na Litwie mieli już wcześniej); ustala też się system automatycznych nobilitacyj. Rok przedtem sejm, a nie kancelarja królewska, wydał 420 szlacheckich dyplomów, — jedyna taka gromadna nobilitacja w naszych dziejach.

Bratały się teraz oba stany coraz więcej; węzłów nie brakowało i z tej i z tamtej strony, bo jak oświeceńsze mieszczaństwo łączyło się ze szlachtą przez swe dyplomy, kupno dóbr i wszelkie możliwe drogi awansu społecznego, tak biedniejsza szlachta wchodziła coraz liczniej w stan urzędniczy, albo nawet w mieszczaństwo — zresztą przejście z jednego do drugiego było nader łatwe. Prąd ideowy, acz wielki, nie był tu najważniejszym — ważniejsze było samo życie, stykające z sobą wszystkie warstwy w nowym systemie gospodarczym. Myśl obywatelska każe magnatom podnosić przemysł, zakładać manufaktury — zresztą teraz samo posiadanie ziemi już o bogactwie nie rozstrzyga, największym bogaczem jest już nie ten, co ma morgi, choćby trzy miljony, jak Szczęsny Potocki, ale ten, co ma jedno i drugie, — to jest fabryki. W tej swojej działalności wielcy panowie, jak Małachowski, Sołtyk, Tyzenhaus, Unruh, Jezierski spotykają się ze szczytami mieszczaństwa, z Danglem, Jakubowiczem, Tepperem, Blankiem, Kabrytem, Rautenstrauchem, żeby już nadto nie mnożyć przykładów. Koleżeństwo jest zupełne, skoro nawet wśród bankierów warszawskich nie brak takiego pana z panów, jak Prot Potocki. Niema też właściwie żadnej różnicy między temi plutokracjami, miejską i wiejską, bo tem w istocie było nasze możnowładztwo. Nie różni ich ani sposób życia, tak samo wystawny i pański, często nawet wystawniejszy u tych nowych panów, co jak Tepper wydawali krocie na *ensamble*, a których żony pozwalały sobie na bajeczne zbytki, o jakich i marzyć nie mogły kasztelanki; ani fakt posiadania dóbr ziemskich, bo te mają i Dangiel i Tepper, ani wykształcenie i wiedza — często znowu większe u łyków, ani nawet tytuły, bo te miejscy bogacze łatwo sobie kupili, choćby tylko baronowskie, jak Dangiel. Wobec takiej ścisłej symbiozy dochodziło nawet do pokrewieństw, co dziwić nie może, skoro tylko złoto daje blask tytułom; związki takie łączyły zresztą rody cokolwiek mniejsze, zajmujące drążkowe krzesła w senacie, np. Skarbków, — synem Fengierówny, córki toruńskiego bankiera, był Fryderyk, uczony ekonomista i pisarz.

W ostatecznej więc konkluzji czasy stanisławowskie wytworzyły warunki, pozwalające łączyć się wszelkim stanom, a dzięki temu ich zazębieniu się na wszelkich możliwych poziomach hierarchji, wytworzyły jedno społeczeństwo, nie rozbite, ale tylko podzielone na stany — warstwy. Narodziny społeczeństwa, to największa przemiana socjalna tych czasów, a z niemi naszej nowoczesności, — ona ją rozpoczyna.

KAROL STEFAN FRYCZ

„KOMPLEKS ŻYDOWSKI” A. MICKIEWICZA

W PRASIE żydowskiej (kto ma gust ją czytywać) od dłuższego czasu można znowu raz po razu spotkać napomknienia, artykuły, ba, osobne rozprawy o żydowskiej paranteli, o żydowskich sympatjach, krótko mówiąc o „żydowskim kompleksie” A. Mickiewicza. Sprawą tą utrudził swe dystyngowane pióro w „Miesięczniku Żydowskim” sam dr. Oberländer. Ze swej strony chcielibyśmy więc naszym współziemianom (mimo woli) dopomóc i z miłą chęcią usłużymy im zestawioną poniżej chrestomatją. Zdaje się, że ujawnia ona ponad wszelką wątpliwość charakter owego „kompleksu” i to na przestrzeni wielu lat.

1. Najpierw jednak, tytułem wstępu, obrazek, ilustrujący nam stan rzeczy w stronach rodzinnych poety właśnie podówczas, gdy, jako młody akademik, rozeznawał on naokół siebie Polskę współczesną:

„Zbyteczne przytłumienie władz umysłowych u chłopów litewskich jest w części skutkiem ich poddaństwa, lecz daleko więcej skutkiem bezpośrednich związków z żydami; póki zaś tym ostatnim wolno będzie utrzymywać karczmy, póty niepodobieństwo jest oczekiwać najmniejszej odmiany w obyczajach włościańskich: albowiem rzecz wielce korzystna dla żydów — przez rozkrzewienie coraz większe pijaństwa widzieć rolników coraz bardziej przytłumionych na umyśle...

Wszyscy żydzi żyją z przemysłu, albo raczej w większej części z szachrajstwa. Można ich podzielić na dwie klasy ogólne. t. j.: na wiejskich i miejskich. Pierwsi zajmują po drogach wszystkie prawie karczmy, za które dobrze właścicielom płacą, chociaż zato przez oszukiwanie włościan i inne wybiegi z lichwą wynagradzają to sobie. Oni są przyczyną, że włościanin sprzedaje im ostatniego konia, ostatniego wołu, ostatnią miarę zboża, dla nabycia wódki. Komuż nie są wiadome ich obroty, co jesień odbywające się? Wtenczas, po zebraniu zboża, przebiegają okoliczne wioski z wódką i wymieniają na zboże, którego za flaszę wódki niekiedy dwa lub trzy wory dostają, tak dalece, że większa część włościan już w grudniu jest bez chleba. Żyd w takim razie, nie mając nic do wydobycia, dostarcza włościaninowi wódki na rachunek żniwa następnego.

Drudzy, t. j. żyjący po miastach, niemal wyłącznie zajmują się handlem... Wielka część żydów, która nie trzyma karczem, szynków lub handlu, bawi się rozmaitemi rzemiosłami. Wielu z nich trudni się przekupstwem i zajmuje tożsamo miejsce w Litwie, co *„roznoszczyki”* w Rosji. Niektórzy także służą za pośredników w kupowaniu i wyprzedaży towarów i zowią się faktorami...

Ze sposobów życia klasy żydowskiej widzimy, że po większej części nie może ona należeć żadną miarą do klasy czynnej i płodnej, że jest rzeczywiście na kształt roślin pasorzytnych, karmiących się stratą ubogiego rolnika, na którym opierają się ostatecznie wszelkie ciężary podatków, czynszów, pańszczyzny i t. d.”

Książeczkę, z której wyjęto powyższe obserwacje (J. E. Lechnicki: „S t a t y s t y k a G u b e r n j i L i t e w s k o - G r o d z i e ń s k i e j,” Wilno 1817) mieli w bibljotece swej wileńscy Filomaci i pilnie ją studjowali. Co więcej, mieli z niej impuls i na niej się uczyli, jak należy zbierać obserwacje i dane statystyczne. I jeszcze więcej, wiemy, że Mickiewicz współpracował z gronem kolegów nad zbieraniem takich dat i obserwacyj.

2. Wobec tego nie bez interesu będzie dowiedzieć się jeszcze podrodze, jaki też pogląd na sprawę żydowską mieli i komunikowali sobie wileńscy Filomaci. Wiadomość będzie potrosze rewelacyjna. W r. 1820, kiedy rozważano treść i program zamierzonego pisma perjodycznego, kiedy więc roztrząsano, w jakim duchu należy oddziaływać na społeczeństwo, jeden z Filomatów, Dionizy Chlewiński, takie oto dał oświetlenie sprawy żydowskiej w Polsce:

„Mówiąc o stanie naszego kraju, przemilczeć żydów nie można; gdzie tylko bowiem przyjdzie na kraj nasz spojrzeć, nad jego stanem zastanowić się, ile przychodzi smutne dumanie o nieszczęściach narodu, — zawsze temu musi towarzyszyć obraz klęsk, zdziałanych przez to bezecne plemię, co się niegdyś w gniewnej niebios porze na zgubę do naszej ziemi przeniosło. [Wiele pisano, zwłaszcza od Sejmu Czteroletniego, o sposobie rozwiązania sprawy żydowskiej w Polsce]. Biorąc na uwagę treść wszystkich pism w tej materji, można przekonać się, że prócz środków przeszkadzających rozmnażaniu się zbytniemu tego rodu, oraz wypędzenia ich zupełnego, czy razem czy powoli, inne wszystkie skutecznemi być nie mogą.

Czy zaś są szkodliwi dla nas tak względem osłabienia ducha, jakoteż zniszczenia rolnictwa i wszelkiego przemysłu, prawdziwego handlu, czy nie przyprowadzają tysiące miejskich familij do nędzy i ubóstwa, a miljony rolników do żebractwa, — ten chyba wątpić będzie, komu umysł, duszę i serce przesądna osiadła ślepota.

Co się tyczy łudzenia się nadzieją zmienienia ich w krajowców drogą oświaty i cywilizowania tego zbarbarzyniałego w przesądach plemienia, — jest prawie niepodobieństwem do wykonania w naszym kraju, i u nas te środki zawsze będą projektami chwalebnemi, jako płody bujnej wyobraźni oraz serca przychylnego narodowi, ale żydzi zawsze będą żydami, jeżeli skuteczniejsze na nich nie wywrze się działanie”. (A r c h i w u m F i l o m a t ó w, część II, tom II, str. 204 n.).

3. Żyjąc w gronie kolegów tak gruntownie i trzeźwo oceniających społeczne i narodowe znaczenie żywiołu żydowskiego, Mickiewicz — rzecz naturalna — miał równie jasny pogląd na naturę tego plemienia, i to zarówno na jego sfery ortodoksyjne, jak i na tych, co „drogą oświaty i cywilizowania” nibyto zmienili się w „krajowców“, krótko mówiąc: na żydopolaków. Znajdujemy na to świadectwa wyraźne w jego poezji. Ponieważ czytelnik rzadziej się z niemi naogół spotyka, warto może to i owo z nich przytoczyć. Znacie Państwo bajeczkę o rabinie-pasorzycie? — Znamy, znamy! — Więc... posłuchajcie.

PCHŁA I RABIN

Pewny rabin, w talmudzie kąpiąc się po uszy,
Cierpiał, że go pchła gryzła; w końcu się obruszy,
Dalej czatować, — złowił! Srodze przyciśnięta,
Kręci się, wyciągając główką i nóżęta:
„Daruj, rabi; mądremu nie godzi się gniewać!
O święty synu Lewi, nie chciej krwi przelewać!”

„Krew za krew! — wrzasnął rabin — Belijala płodzie!
Filistynko, na cudzej wytuczona szkodzie!
Mrówki same mają śpichrz; pracowite roje
Znoszą miody i woski, a trucień napoje!
Ty się jedna śród ludzi z liwerem uwijasz,
Pijaczko, tem szkodliwsza, że cudze wypijasz!”...

Zakończył; i gdy więźnia bez litości dłabi,
Pchła konając pisnęła: „A czem żyje rabi?”

A teraz o żydach zasymilowanych „krajowcach”, takich, co podówczas między najzażartszymi, między najczerwieńszymi patrjotami kręcili się na emigracji, licytując wszystkich w radykaliźmie „postępowym”.

Oto jeden z nich:

NA JANA CZYŃSKIEGO

Wpół jest żydem, wpół Polakiem,
Wpół jakubinem, wpół żakiem,
Wpół cywilnym, wpół żołdakiem,
Lecz zato całym — łajdakiem.

Poczem drugi:

NA T. KREMPOWIECKIEGO

...Słyszysz, że działo z Litwy przywiózł Krępowiecki
I rdzennym strzałem mierzy w cały stan szlachecki.
Choć nie mam prócz Parnasu innych posiadłości
I nadzieja dochodów moich w potomności,
Jestem pono szlachcicem; truchleję z obawy
Przed bohatyrem sławnym z litewskiej wyprawy.

Jak sławiony w kantyczkach rabin z Świętogrodu,
Najmężniejszy przed wieki z Hebreów narodu,
Który, kiedy Chrystusa wiązali Rzymianie
I wystawili na śmiech i na biczowanie, —
Śmiał w synagodze, zbrojną wdziawszy rękawicę,
Uderzyć bezbronnego Zbawiciela w lice;
Tego męża był praprawnukiem naturalnym
Żyd, który za mych czasów był w Mirze Kahalnym;
Sławili go z niezwykłej odwagi niechrzczeni,
Iż śmiał Radziwiłłowi dać figę... w kieszeni.

Od tego żyda idzie mąż sławny w tułactwie,
Który stanąwszy śmiało w paryskiem opactwie,
Związanej od Moskali Polsce dał policzek,
I związał na nią — zdjęty ze swej szyi — stryczek,..

[Słówko objaśnienia: T. Krempowiecki, jeden z najsławniejszych gębaczy Towarzystwa Patrjotycznego w Warszawie 1831 r., nie kwapił się na front, a otrzymawszy przydział do baterji wyruszającej z Dembińskim na Litwę, zuchwale nie posłuchał rozkazu i — tchórz i dezerter — wichrzył dalej po Warszawie. W Paryżu 1832 r., na polsko-francuskim obchodzie rocznicy 29 listopada, wygłosił zajadły atak na dawną Polskę, jako na ostoję ucisku i krzywdy społecznej].

4. Również w dziełach większych znajdujemy rozrzucone sądy i uwagi, świadczące, iż poeta, równie jak przyjaciele młodości, trzeźwo oceniał naturę i znaczenie żydostwa w Polsce.

Więc np. w KSIĘGACH PIELGRZYMSTWA:

„Słyszycie, iż mówią żydzi i Cyganie, i ludzie z duszą żydowską i cygańską: tam ojczyzna, gdzie dobrze; a Polak powiada narodom: tam Ojczyzna, gdzie źle"...

Trudno tu przytaczać w całości z tegoż utworu długą przypowieść o tchórzliwych żydach i mężnym gajowym, choć jest bardzo pouczająca, bo dowodzi, że Mickiewicz widział między żydostwem a narodami chrześcijańskiemi mur nieprzebyty, uniemożliwiający porozumienie się i wspólnotę odczuwania w sprawach np. etyki osobistej i narodowej.

„Tego jednego, — mówi Gajowy żydom, pytającym go, dlaczego podjął walkę nierówną z rozbójnikiem, — tego jednego wam nie powiem; a choćbym powiedział, — nie zrozumiecie; bo inny jest rozum żydowski, a inny chrześcijański".

Nie można natomiast pominąć ustępu, który czytelnika dzisiejszego, mającego w pamięci wypadki z przed lat kilkunastu, wprost przeraża ostrością jasnowidzenia, a mówi o roli żydostwa w krwawych przewrotach rewolucyjnych:

„Nie obruszajcie się tak bardzo na bałwochwalców; bijcie ich słowem, a inni ich pobiją mieczem. A ci, co ich pobiją, są żydzi, czyli ludzie starego zakonu, którzy czczą Wszechmocność ludu, i Równość i Wolność. Oni nienawidzą bałwochwalców, a nie mają miłości ku bliźnim, i zesłani są na wytępienie bałwochwalców-Chananejczyków. I pokruszą bałwany ich, a bałwochwalców będą sądzić prawem Mojżesza i Jozuego, i Robespierra i St. Justa, wytępiając od starego do ssącego dziecka, od bydlęcia do szczenięcia".

Chesterton w przedmowie do angielskiego przekładu „Nieboskiej Komedji pisze o „proroczych pierwiastkach" tego dzieła, a jeden z nich widzi w scenie z przechrztami, proroczo demaskujący zakonspirowaną rolę żydów w rewolucji bolszewickiej. Uszło uwagi pisarza angielskiego, że to jasnowidztwo Krasińskiego nie było w Polsce odosobnione.

W „Panu Tadeuszu" cień Jankiela zasłania zwyczajnie czytelnikowi oczy i odwraca jego uwagę od tych napomknięć, które świadczą, że poeta i tam bynajmniej nie zataił tego, co wiedział o antynapoleońskiej i antypolskiej orjentacji politycznej owoczesnego żydostwa na Litwie, o szpiegostwie na rzecz Rosji. Nie omieszkał więc zaznaczyć, że wędrujący od wsi do wsi legjonista-inwalida

„oczy wkoło obracał ostrożne,
Gdy nie widział we dworze rosyjskich żołnierzy,
Ani jarmułek, ani czerwonych kołnierzy,
Wtenczas, kim był wyznawał..."

Jankiel był jeden, a zdradzieckich jarmułek — setki.

Także między warjantami „Pana Tadeusza" znajdujemy charakterystyczną refleksję, wykazującą, jak dobrze poeta się orjentował co do roli żydostwa we wzrastającym kapitaliźmie w XIX. Wspominając o dawnych obyczajach polskich, dorzuca tam Robak:

„Bo jeszcze wtenczas góry żydostwo nie brało
I pieniądz, bóg dzisiejszy, miał czcicieli mało".

5. Okres towianizmu Mickiewicza uchodzi powszechnie za okres zdecydowanego filosemityzmu. Istotnie za sprawą Towiańskiego, a nie bez przyczynienia się również żydowskiej (dalszej) rodziny Celiny, poeta przesuwa swój punkt patrzenia na żydostwo, tworzy swoistą ideologję „Izraela-starszego brata" i t. p. Przecież i teraz nie traci bynajmniej trzeźwości sądu, a nawet krytycyzmu.

Więc np. w r. 1845, w święto zburzenia świątyni wybrał się z apostolstwem Sprawy do bóżnicy w Paryżu; mówił do rabina i jakichś zgromadzonych żydów, chcąc ich widocznie zjednać dla Mistrza. Wyprawa skończyła się oczywiście fiaskiem. Oto jak Mickiewicz zdawał z niej sprawę Towiańskiemu.

„W bóżnicy izraelskiej skończyłem jedną z ważnych robót... Tutejsi izraelici są może najniżsi. Rabin najmocniej oburzał się na to, że mu o żałobie Izraela mówiłem. Bo oni tu używać tylko chcą, ale boleć — to dla nich najtrudniejsze... Rabin mnie wielokroć przerywał i uciekał, ale go wstrzymałem"... (Współudział, I 279).

Nie zawadzi też przypomnieć, choć niezbyt dawno przytaczano go na tych kartach, sąd Mickiewicza (z lat ostatnich) o Heinem. Wypowiedział go w rozmowie z Lenartowiczem:

„Heine? Nie Izrael, — bo to rzecz wielka; — to żyd. Przed każdą pięknością klęka on (w sztuce, w życiu, w idei), podaje jej berło swoje z trzciny, — a potem policzkuje, krzycząc: „witaj, królu żydowski!" Ale znajdą się krytycy, zobaczysz, którzy to nazwą postępem, nowością, odpowiadającą dedukcjom z nauk; — at, głupstwo wieku". (Pamięci Adama, Petersburg 1890, str. 27).

To także jedna z głębszych i trafniejszych obserwacyj Mickiewicza nad duszą żydowską czy pół żydowską, dziś prawdziwsza jeszcze, niż przed ośmdziesięciu laty.

Dla łapczywych badaczy „kompleksu żydowskiego" może ta porcja tekstów na razie wystarczy.

Ł. O.

NA WIDOWNI

Polesie. — Odwiedziny u Marji Rodziewiczówny. — Na dworcu w Brześciu.

POLESIE — dla dzisiejszego Polaka — to przedewszystkiem województwo, w którem jest Brześć i jest Bereza Kartuska. Swiadomość tego ani na chwilę nie schodzi z pamięci, kiedy los zdarzył, w czasie krótkiej podróży wakacyjnej, znaleźć się w rozległym, równinnym kraju na wschód od Bugu. Smutno. Przed oczami ustawicznie stają postacie dawnych kolegów uniwersyteckich i szkolnych, starych, dobrych przyjaciół...

A przecież ziemia poleska — gdyby nie te myśli bolesne i ponure — pełna jest czaru, jakiejś swoistej, nieznanej reszcie Polski, pierwotnej urody. Zwłaszcza wczesnym porankiem, pośród nizin rozmokłych i lasów, dziwnie tu gwarno od głosów przeróżnego ptactwa, których ja, mieszczuch, rozpoznać ani określić nie potrafię... Nad polami, niby jakieś motyle olbrzymie, przelatują raz po raz błyszczące, rdzawo-błękitne kraski. Nadewszystko wszakże rzuca się w oczy wielka ilość bocianów, których białe i czarne pióra, czerwone dzioby i nogi jaskrawą plamą zaznaczają się na intensywnej zieleni wysoką trawą zarośniętych łąk i moczarów. Bocian, na przestronnej płaszczyźnie poleskiej, jest nieodzownem, stałem niejako uzupełnieniem krajobrazu. Widać natychmiast, że się przebywa w okolicy, w której statystyka notuje wyjątkowo wysoki odsetek urodzeń.

W sierpniową niedzielę byłem na nabożeństwie w Horodcu, w powiecie kobryńskim. Pomimo święta, zaledwie kilkadziesiąt osób w obszernej nawie: cała okolica, nieomal wyłącznie, zamieszkana jest przez ludność prawosławną. A jednakże kościół ten, w tem otoczeniu, bynajmniej nie wywołuje wrażenia egzotyki: wszak ufundował go jeszcze Władysław IV i już zgórą dziesiątek pokoleń wzrastał, żył i kładł się do mogiły w cieniu tej barokowej budowli. Nie dziw tedy, że nawet stulecie rządów rosyjskich nie wyniszczyło w tutejszym ludzie prawosławnym niektórych zwyczajów zachodnich, choćby np. stawiania krzyżów takich, jak w pozostałej Polsce, nie zaś, jak w Rosji, podwójnie przekreślonych, sposobem przyjętym na Wschodzie.

Pewnego ranka zawitałem do Hruszowej, majątku p. Marji Rodziewiczówny. Zdaleka widniał stary dwór, o wspaniałym podjeździe, „tem bielszy, że odbity od ciemnej zieleni". Po prawej stronie lamus piętrowy, również już przed wiekiem przeszło wzniesiony, pociągał wzrok dostojnością swojej doryckiej kolumnady. Jakże zachodnie gusty estetyczne miała ta szlachta kresowa przed stu laty, jeżeli taki właśnie „klasycyzm" był, w jej pojęciu, najpiękniejszą, najbardziej naturalną architekturą wśród poleskich puszcz i mokradeł!

Wnętrza dworu równie staroświeckie: tak powinnyby wyglądać dekoracje do sztuk Fredry. Właścicielka opowiada tonem ożywionym, jak zwycięsko umie się borykać z dzisiejszym kryzysem, a słuchając Jej, można uprzytomnić sobie niejedno z historji walk o zachowanie polszczyzny na kresach. Trzeba pamiętać, że owa skrzętność, pracowitość najdzielniejszych z pośród ziemiaństwa kresowego, najdalsza była — w swojej postawie moralnej — od sposobu myślenia i odczuwania jakiegoś *homo oeconomicus* według formuły Smitha. Chodziło o to, aby kosztem najcięższego nawet trudu, największych osobistych wyrzeczeń, utrzymać się — za wszelką cenę — w posiadaniu ojcowizny, której prawo nie zezwalało sprzedawać Polakom. Każdy dwór tutaj był wysuniętą placówką polskości i Zachodu, wytężonej, ciągłej wymagającą obrony.

Rodziewiczówna jest jedną z tych, którzy przetrwali. Dwór w Hruszowej, jak wyspa polska, ostał się pośród zalewu rosyjskiego, aby, kiedy wody opadły, znów połączyć się ze swoim lądem zachodnim, którego stanowi cząstkę nierozdzielną. Tak przebogate zaś były tu zasoby polszczyzny, że starczyło z nich, w dobie największego ucisku, na rozsyłanie jeszcze po całej Polsce pokrzepienia — w postaci twórczości autorki „Dewajtisa"!

I rzecz znamienna: Rodziewiczówna — ta sama w swych książkach i w życiu—jest w przywiązaniach swoich, tradycjach, obyczaju zjawiskiem nawskroś kresowem, przedstawicielką najdoskonalej zrośniętego z ziemią „regjonalizmu". A równocześnie jej kanon estetyczny i etyczny, jej cały stosunek do życia tak niepodzielnie są wytworem rzymskiej, zachodnio-europejskiej kultury, że nie przypadkiem jest zgoła, iż właśnie w dzielnicy Wielkopolskiej pisma jej z najgorętszem bodaj spotykają się uznaniem, najliczniejszych znajdują czytelników.

— — — — — — — — — — — —

Czy dzisiejsza „nowa Polska", w swojej działalności na kresach, w dalszym ciągu zachowuje ten styl cywilizacji europejskiej, jednolity, szlachetny, jak kolumnada starodawnego lamusa w Hruszowej? Niemal symbolem wydało mi się w tym względzie inne dzieło architektury: centralny dworzec kolejowy w Brześciu nad Bugiem.

Warto przyjrzeć się tej obszernej budowli: w połowie nito dwór czy pałac renesansowy (wiele stacyj takich, w t. zw. „polskim stylu" pobudowano, po zniszczeniach wojennych, na naszych kolejach), drugą połowę stanowi typowy *„wogzał"* rosyjski, dzieło okresu poprzedniego, jakie seryjnie stawiano na całej przestrzeni imperjum carów, od granicy niemieckiej do Władywostoku. Te dwie części jednego gmachu, połączone pretensjonalnym łukiem bramy, wiele doprawdy nasuwają skojarzeń i refleksyj. Lecz najciekawszy — w miejscu, gdzie często umieszcza się na zewnętrznej stronie dworców zegary — jest... zegar także, ale bez mechanizmu, malowany... Jakbyśmy wznieśli się już na ten szczebel kultury, iż rozumiemy, że wypada posługiwać się zegarem, tak jak wypada popisać się np. swobodami obywatelskiemi, praworządnością i t. d., ale to wszystko, zda się, bez sprężyny wewnętrznej, nie funkcjonuje...

Bardziej interesujący wszakże, aniżeli budownictwo dworców poleskich, są podróżni, jakich spotyka się w pociągach i na peronach. Do wagonu 3-ciej klasy, którym jechałem, wpada gromadka młodych żydów, członków „Brith Trumpeldor" w czekoladowych koszulach, rozpychając się, hałasując, wykrzykując jeden przez drugiego aroganckim, zgiełkliwym żargonem. W ruchach i postawie pewność siebie, oblicza różowe, tłuste, zdradzają dobrobyt. Pokornie ustępują im miejsca autochtoni, ubogo ubrani chłopi polescy, przejęci uszanowaniem wobec bogactwa, siły, no i wreszcie— co nienajmniej tu znaczy — munduru...

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

II-GI ZJAZD POLAKÓW Z ZAGRANICY był jednem, wielkiem, serdecznem wzruszeniem, jeśli idzie o wyraz przybyłych, jakoteż oddźwięk całego narodu. To też niebywale przykro odbija się na tem tle wyrachowanie „sanacji", której cały wysiłek szedł w kierunku zdyskontowania na swój wyłączny rachunek tej doprawdy imponującej manifestacji. Dużoby o tem można było mówić i pisać. Zajmiemy się dla ilustracji, jednym tylko przykładem, t. zw. instrukcją uświadamiania politycznego, w którą zaopatrzeni zostali przydzieleni gościom opiekunowie, rekrutujący się przeważnie, czy nawet wyłącznie z pośród członków „Strzelca" i „Legjonu młodych".

Nic też dziwnego, że punkt trzeci przezornie nakazywał nie poruszać spraw religijnych, a w rozmowach na ten temat „...zachować daleko idącą ostrożność i lojalność". Nawet lojalność! Oczywiście na ten tylko raz...

A więc, według instrukcji, stan kraju oczywiście — znakomity. Na terenie zagranicznym „Pomorze już nie jest ziemią sporną". Patrzcie dopiero teraz dowiedzieliśmy się, że było nią dla nas kiedykolwiek! „Sytuacja gospodarcza wybitnie się poprawia", „...dokonała się konsolidacja wewnętrzna społeczeństwa w kraju", „...obóz Marszałka Piłsudskiego obdarzony zaufaniem całego Narodu, rozpoczął pracę nad konstytucją..." Rozpoczął? A myśmy myśleli, że już ukończył. Jeszcze pamiętamy jeden z licznych obchodów...

Mimo konsolidacji, i to „całego Narodu", opozycja istnieje (co za logika!). Jest ona oczywiście sztucznym tworem ludzi „...pozbawionych twórczej roli". Tylko po takiem wytłomaczeniu jej wartości „...będzie można obrzydzić współtowarzyszowi czytanie tego, czy innego organu politycznego".

Młodzież również „cała niemal" murem. „Już dzisiaj nieliczna grupa młodzieży t. zw. opozycyjnej — stanowi właściwie resztkę niedobitków, próżniaków, żerujących na naiwnej wierze młodych kolegów. Nie przedstawia ona żadnej wartości. Nic pozytywnego nie wnosi do dorobku Państwa i Narodu Polskiego".

Nie dziwmy zbytnio się temu wszystkiemu. Zwie się to w języku współczesnym — propagandą. Dawniej nazywało się inaczej.

DO CIEKAWSZYCH USTĘPÓW wyżej omawianej instrukcji należą również słowa następujące: „Praca twardych rąk robotnika, umiejętnie przedstawiona obudzi więcej zachwytu, niż groby królów w okoleniu ciemnych ołtarzy". Nie można powiedzieć, ażeby prostactwo duchowe nie łączyło się tu nawet z pewnym talentem pisarskim... Nie o to wszakże chodzi. W słowach tych wiąże się i chęć pospolitej, powiedzmy... propagandy i nuta zastarzałej „ideologji pracy". Punkt ten, przyznajmy, krył w sobie wiele niebezpieczeństwa, nie przewidywał mianowicie, że zakłamywać się i blagować można w tym wypadku do tej pory, dopóki nie zapytają o przykłady. Nawet „umiejętność przedstawienia" nie pomoże, jeśli poprostu niema czego przedstawić. A już chyba zgoła niepożądanym widokiem stałyby się zamiast spodziewanych przejawów pracy twardych rąk robotniczych, te same ręce, ale — bezrobotnych.

I jeszcze jeden punkt. Przytaczamy w całości: „Z prasy polecić: „Młody Polak Zagranicą", „Kuźnię Młodych", „Dekadę", „Państwo Pracy". Z czasopism: „Świat", „Tygodnik Ilustrowany", „Naokoło Świata", „Kino", „Cyrulik Warszawski", „Pion". Z pism kobiecych: „Praca Obywatelska", „Prosta Droga" i „Kobieta Współczesna". Z prasy codziennej: „Gazetę Polską", „Kurjer Poranny", „I. K. C.", prasę „czerwoną".

Zapomniano: „Tajny detektyw".

ISTOTNIE, WOLNOMULARSTWO JEST W DEFENSYWIE... W XIX wieku, jak czytamy:

„Zaczyna się nowy wielki okres rozwoju wolnomularstwa, które wychodzi już jednak poza dziedzinę czysto kulturalną, wkraczając w sferę poczynań bardziej konkretnych i realnych. Fasada ideowa jeszcze oczywiście istnieje. Wyraża się ona w wolnomyślicielstwie różnych odmian, którego objawem najjaskrawszym jest może laicyzm francuski. Antyklerykalizm, który przejawił się bardzo silnie zarówno u liberałów, jak i u socjalistów, jest wyrazem ideowych tendencyj, popieranych przez wolnomularstwo. Za temi ideałami kryły się jednak interesy bardzo konkretne, interesy międzynarodowej finansjery, u nas przed — mniej więcej — laty dziesięciu określanej mianem „anonimowego mocarstwa". Na tok polityki międzynarodowej mieli przedstawiciele wolnomularstwa także wpływ niemały, a w lożach, jednoczących „braci" różnych narodów, omawiano plany, które ostatecznie doprowadzić musiały do bratobójczej wojny. I pod tym względem rola wolnomularstwa nie jest jeszcze dostatecznie zbadana. Okres, poprzedzający wybuch wojny, i czasy montowania pokoju w okresie powojennym, łącznie z całą ideologją pacyfistyczną, to wszystko czas wspaniałego rozkwitu idei wolnomularskiej. Być może, że w prasie nacjonalistycznej zbyt przeceniano wpływ tego kierunku, ale błędem byłoby go niedoceniać".

Tak pisze ni mniej, ni więcej tylko „Kurjer Polski" — organ „Lewjatana", naszego „anonimowego mocarstwa" w minjaturze, w artykule zatytułowanym „Wolnomularstwo w defensywie".

Istotnie, jest ono w defensywie, skoro nawet niedawni sprzymierzeńcy podnoszą na nie głos i zarzucają takie bagatelki, jak reprezentowanie — pod mile dźwięczącemi hasłami — interesów międzynarodowej finansjery, doprowadzenie do „bratobójczej wojny", a wreszcie bezbożnictwo, ukryte pod łagodniej brzmiącem słowem „laicyzm". I nie tylko to się zarzuca:

„Atak sztabu generalnego na wolnomularstwo francuskie jest bardzo symptomatycznym objawem chwili. Z kół wolnomularskich inwigilowano specjalnie wojskowych i śledzono, czy i jakie są ich stosunki z Kościołem".

„W koncepcji hitlerowskiej i pokrewnych hitleryzmowi ruchów jest wolnomularstwo — obok marksizmu — głównym ruchem, mającym na celu wewnętrzny rozkład kultury duchowej państw".

Bardzo poważne zarzuty; ostatni wprawdzie wypowiedziany nie we własnem imieniu, ale zawsze...

Gdy się weźmie pod uwagę, że piszą to właśnie rzecznicy finansjery, cała sprawa wydaje się bardzo zagmatwana i niezrozumiała. Wyjaśnienie daje jeden z końcowych ustępów artykułu:

„Nie jest prawdopodobnem, ażeby w stosunkach polskich wolnomularstwo odegrało większą rolę, chociaż wymienia się inicjatywę tych, czy innych lóż w takich czy innych sytuacjach".

Odwieczną metodą masonerji jest bagatelizowanie siebie samej w oczach ogółu laików. Dziś ani istnienie, ani rola masonerji w skali świato-

wej nie da się już zbagatelizować, więc próbuje się zbagatelizować ją bodaj na terenie Polski.

Cały ten artykuł możnaby streścić w ten sposób: — „Masonerja tak, owszem zarzuty słuszne, co do międzynarodowego kapitału też, ale my, polski „Lewjatan", skądżeby znowu, co za myśl?!"...

IMIENNE LISTY ZAŻYDZENIA różnych dziedzin umysłowej pracy polskiej, ogłaszane przez prasę narodową, stanowią ważny środek budzenia społeczeństwa polskiego do samoobrony. Poznajemy tym sposobem i plastycznie w wyobraźni odtwarzamy grozę położenia adwokatury w Polsce, medycyny, nauczycielstwa szkół wyższych, a mamy nadzieję, że poznamy również stan zażydzenia wszystkich zawodów wolnych, a nadto wielu innych organizacyj naszego życia zbiorowego. Rozumiemy, że zebranie danych nastręcza niekiedy trudności ogromne. Dla dziennikarzy jednak najłatwiejsze byłoby zebranie nazwisk zażydzenia zawodu dziennikarskiego, dlaczegoż tedy tej właśnie listy doczekać się nie możemy?

Pozwalamy sobie na małą w tej sprawie pobudkę w postaci wyszczególnienia odpowiedniej części składu redakcyjnego dwóch dzienników, które już w tytułach polskość swoją zaznaczają. Do redakcji „Kurjera Polskiego" należą pp.: Atlas Adolf, Barbanel, Baumgart *vel* Mirek, Chorowiczowa Anna, Fiszmanówna Jewa, Gierszczyński Hersz, Gurfinkel Leon, Jakubowicz Kazimierz, Klein Konstanty, Krongold Szymon, Melodysta St., Piernikarz Stanisław, Reichman Józef, Sztrancman Wilhelm, Toeplitz Jerzy. Odpowiednia część redakcji „Gazety Polskiej" liczebnie jest nieco skromniejsza; w skład jej wchodzą pp.: Adlerowa Jadwiga, Krukowski Stefan, Liński Henryk (Lichtenstein), Lassota Wacław (Lewinsohn), Otmar (Berson) Jan, Szrajt, Stanisławski Czesław, oraz sam Sokołow Florjan, syn Nahuma Sokołowa, prezesa Światowej Organizacji Syjonistycznej. (Papa tam, a synek tu...), Ten starczy za wielu.

Wyobraźmy sobie, że na Franciszkanerstrasse mieści się redakcja drukowanego w żargonie „Kurjera Żydowskiego", którego trzon redakcyjny stanowi tuzin rodowitych Polaków, a na Genszegasse mieści się hebrajska „Gazeta Żydowska" z ośmioma Polakami w redakcji, z synem wybitnego działacza polskiego na czele. Może czytelnicy nasi rozważą ten przykład fantastyczny i zechcą odpowiedzieć na pytanie: w jakim nakładzie i jak długo mogłyby się utrzymać oba te cudaki dziennikarskie?

PO WYPADKACH W AUSTRJI

OSTATNIE wypadki austrjackie, a zwłaszcza ohydne zamordowanie kanclerza Dollfussa, nasuwają patrzącemu na nie także inne wnioski, obok tylko uczuciowych, współczujących z losem zmarłego kanclerza, na którego spoglądano z pobłażaniem, ale i z pewną sympatją.

Dollfuss nie był dyktatorem z powołania, lecz raczej człowiekiem, którego na to stanowisko wysunęły okoliczności dziejowe, zmuszając go do wprowadzenia *régime*'u i kierunku politycznego, zapewne tak jemu, jako człowiekowi, jak dużej, może przeważającej, liczbie jego rodaków, obcego i sprzecznego z ich dążeniami.

Nie stał Dollfuss na czele żadnego potężnego ruchu ideowego, obóz przez niego stworzony był zlepkiem organizacyj najróżniejszego pokroju, o najrozmaitszych, sprzecznych nieraz poglądach. W zasadzie wszystkie one uważały go za „wodza" *(Führer)*, lecz w rzeczywistości mało je los jego obchodził. Cóż łączyć bowiem mogło arystokratę Starhemberga z chrześcijańskim - demokratą Dollfussem, skoro nawet na kwestję *Anschluss*'u nie mieli zgodnego poglądu?

Było coś tragicznego w tem jego zmaganiu się samotnem, choć zapewne pochodzącem z głębokiego przekonania o jego słuszności, z całą prawie Austrją, walczył bowiem również z socjalizmem, szczególnie rozrosłym i zakorzenionym w naddunajskiej stolicy. Sam przyznawał, iż zwolennikami jego jest tylko jedna trzecia część Austrji.

System rządzenia, wprowadzony przez niego, ani na jotę nie odbiegał od recepty podanej gdzieindziej, zawierał wszystko: opanowanie wojska, organizacje bojowe, „*gleichschaltung*" administracji i sądownictwa, sądy doraźne i... obozy izolacyjne, lecz mimo to kanclerz był sam i tak zdany tylko na siebie, że kilkudziesięciu zuchwalców potrafiło go zamordować w samem sercu niemal rządu dyktatorskiego, wśród przyjaciół i urzędników, z których żaden nie odważył się nawet stanąć w obronie swego wodza.

Dlaczego tak stać się mogło? Dlaczego najbliżsi jego współpracownicy okazali tyle słabości wobec zamachowców, dlaczego wierne organizacje nie wystąpiły po stronie nieludzko zamordowanego kanclerza?

Zdaje się, że dlatego właśnie, iż kanclerz Dollfuss nie był wyrazicielem idei narodowej, która mogłaby usprawiedliwić jego postępowanie i pociągać do niego masy zwolenników, gotowe w każdej chwili zginąć dla swego wodza i idei przez niego reprezentowanej.

W tem leżała słabość *régime*'u panującego w Austrji, w tem leży tragizm jej sytuacji, nie można bowiem bezkarnie iść wbrew interesom narodu. I jakkolwiek my, patrząc zdaleka i uznając dobrą wolę zmarłego kanclerza, kierujemy się uczuciem sympatji i litości wobec jego niezwykle tragicznych losów, nie możemy jednak zamykać oczu na to, iż Austrja znajduje się teraz w iście ślepym zaułku, gdyż polityka jego nie dawała tak pożądanej dla Austrji racji istnienia w charakterze odrębnego państwa. Nie da jej także prawdopodobnie żaden z następców Dollfussa, o ile będzie kroczył po tej samej drodze i nie pomogą kary na przeciwników rządu, więzienia i obozy izolacyjne, gdy stosowane będą wobe ruchu, mającego głębsze podstawy narodowe, świadczyć bowiem będą tylko o obawie przed przeciwnikami, a co z tem idzie i o słabości całego systemu, nie opartego na idei narodowej.

S. SURŻ.

NAUKA i LITERATURA

LAKTANCJUSZ

ZASŁUŻONE wydawnictwo Pism Ojców Kościoła opublikowało, jako tom XVI swojej kolekcji, „Pisma wybrane" Laktancjusza[1]) należącego do najświetniejszych stylistów literatury patrystycznej. L. Cecyljusz Firmianus Laktancjusz (ur. koło r. 250 w Afryce, † koło r. 330) z wykształcenia i zawodu retor (uczeń Arnobjusza

[1]) Laktancjusz: „Pisma wybrane". „*De mortibus persecutorum. Epitome. De ira Dei*". Z łacińskiego przetłu-

został powołany przez cesarza Dioklecjana na stanowisko nauczyciela wymowy w Nikomedji. Posadę tę utracił w r. 303, na skutek słynnego edyktu, zabraniającego chrześcijanom piastowanie urzędów państwowych. Ciężkie lata prześladowań dioklecjańskich przetrwał w wielkim niedostatku w Nikomedji. Pod koniec życia udało mu się objąć niezwykle na swe czasy zaszczytne stanowisko. Mianowicie Konstantyn Wielki mianował go wychowawcą swego najstarszego syna Kryspusa. Dlatego opuszcza w r. 317 Nikomedję i udaje się na dwór cesarski do dalekiego Trewiru, gdzie też prawdopodobnie i umiera.

Nie był on wcale wybitnym teologiem. Nie cechuje go ani gruntowna znajomość dogmatyki chrześcijańskiej, ani zdolność szczęśliwej jej obrony. Jako pisarz zwalcza przedewszystkiem pogaństwo. Dlatego też powiedział o nim św. Hieronim *(Ep.* 58, 10*)*: *„Utinam tam nostra adfirmare potuisset, quam facile aliena destruxit"*. Spośród pisarzy starochrześcijańskich wybija się jako pierwszorzędny prozaik. Jego styl i język najbardziej przypominają Cycerona, którego był miłośnikiem i znawcą; literatura grecka zato nie wywarła na niego większego wpływu. Główne dzieło w 7 księgach: *„Institutiones divinae"*, napisane koło r. 311, jest jednocześnie apologją i wykładem nauki chrześcijańskiej. W swoich pismach teologiczno-filozoficznych kładzie Laktancjusz największy nacisk na uzasadnienie m o n o t e i z m u. Zagadnienie jedyności Boga znajduje się w centrum jego zainteresowań. W nauce o pochodzeniu duszy wyraźnie stoi na stanowisku k r e a c j o n i z m u, a w małem dziełku *„De opicicio Dei"* występuje jako zwolennik c h i l j a z m u, czyli wiary, wonczas bardzo rozpowszechnionej, w przyszłe Tysiącletnie Królestwo Boże na ziemi.

W polskim przekładzie znalazły się trzy jego dzieła. Pierwsze *„De mortibus persecutorum"* odbija swym gwałtownym tonem od innych dzieł Laktancjusza. Jest to historyczna relacja o tem, jak ginęli marną, najczęściej nienaturalną, śmiercią, prawie wszyscy, począwszy od Nerona, prześladowcy chrześcijaństwa. Przedewszystkiem jest to opowieść o losach sprawców ostatniego, współczesnego pisarzowi, prześladowania dioklecjańskiego, zakończonego na skutek edyktu medjolańskiego pełnym triumfem Krzyża. Sprawozdanie to, chociaż miejscami budzące zastrzeżenia historyków, jest pierwszorzędnem źródłem naszych wiadomości o tej epoce. Napisane z pasją niezwykłą i z największą niechęcią do prześladowców jest jednym z najciekawszych dziejopisarskich zabytków literatury patrystycznej. Wyczuć z niego można triumfalne nastroje, nurtujące w społeczeństwie chrześcijańskiem po ostatecznem zwycięstwie w r. 313.

Drugie dzieło, podane w tłumaczeniu, *„Epitome Divinarum Institutionum"* jest przerobionem i poprawionem przez autora streszczeniem głównego dzieła. Trzecie *„De ira Dei"* traktuje o gniewie Bożym. Zwalcza się tam zarówno poglądy Epikurejczyków, jak i stoików, którzy, aczkolwiek z różnych wychodząc założeń, zgodnie odmawiali Bogu możności gniewania się.

„Pisma wybrane", umiejętnie przetłumaczone przez ks. C z u j a, dobrze zaznajamiają czytelnika z osobą i dziełami Laktancjusza. Umieszczenie w nich rozprawy o losach prześladowców czyni z książki przyjemną i ciekawą lekturę historyczną. Należy życzyć, aby w następnych tomach tego wydawnictwa znalazło się także tłumaczenie głównego dzieła. Przyswoiłoby to nam całość spuścizny autora, nazwanego przez humanistów czasów Odrodzenia „chrześcijańskim Cyceronem". LAMBDA

---

maczył, wstępami i komentarzami zaopatrzył ks. dr. J a n C z u j. Pisma Ojców Kościoła w polskiem tłumaczeniu pod naczelną redakcją prof. uniwersytetu poznańskiego dr. J a n a S a j d a k a. Tom XVI. Poznań, 1933. Jan Jachowski, Księgarnia Uniwersytecka. Str. 216.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

P r o f. S t. C y w i ń s k i ukochał nadewszystko Wilno i Wileńszczyznę i często głosi chwałę ukochanego kraju, zwłaszcza jego literatury. Należy przecie do wybornych znawców Mickiewicza i Słowackiego, wydał wzorowo dzieła Syrokomli, a już nie liczymy mnóstwa prac pomniejszych, choć równie cennych. Więc był napewno najbardziej do tego powołany, by podjąć się napisania szkicu o „Literaturze w Wilnie i Wilnie w literaturze", który właśnie ukazał się jako odbitka z II t. monografji „Wilno i ziemia wileńska". Sporo tu materjału umieszczono na tych trzydziestu kilku obszernych stronicach. Zaczął autor jeszcze od pierwszych ksiąg, drukowanych w Wilnie w w. XVI, by dojść niemal do ostatnich czasów. Zwięzłość, nie wpadająca w suchość, jest tej pracy zaletą — drugą, obok wielkiej erudycji i sumienności. Ciekawe są notatki o reformacji w Wilnie, zwłaszcza o sekcie judaizantów („żydujących", jak ich zwie Brückner). Wiek XVII, obfitością dzieł imponujący, mniej zaś wartością, ujęty został raczej bibljograficznie; Sarbiewski doczekał się obszerniejszej wzmianki. Nie brak dzieł pisanych i drukowanych w Wilnie także w XVIII w., ale chlubi się Wilno przedewszystkiem pierwszą połową w. XIX: uniwersytetem, kierowanym przez Śniadeckiego, a wsławionym przez prace Lelewela, Grodka, Poczobutta, Jundziłła, a nadewszystko nieśmiertelnemi dziełami Mickiewicza, działalnością filaretów. W zwięzłym, ale niezmiernie trafnym rzucie dał nam tu autor przygodne zestawienie Mickiewicza ze Słowackim, prostujące wiele sądów, plączących się w tradycji społeczeństwa. Równie bystro uchwycony został Odyniec. Kraszewskiemu, jako Wilnianinowi, dużo miejsca poświęcił Cywiński, snadź chcąc jego twórczość z właściwego wywieść źródła. Potem już Chodźko i ulubiony autorowi Syrokomla równie nieomal szeroko ujęci. Wspomina i nieświetnej pamięci album hołdowniczy dla cara, przez archeologiczną Komisję redagowany, a przez Syrokomlę napiętnowany. Orzeszkowa dostała poczestne miejsce, bo choć Grodnianka, przecie w Wilnia wydawała swe książki (znała to miasto On-wil). Potem idzie znów długi szereg uczonych, wśród nich Weysenhoff i Wyspiański, co choć „dwa na słońcach swych przeciwne bogi", jednak Wilno kochali.. (J. B.)

Z M A R L I

ALEKSANDER LEDNICKI

O CZŁOWIEKU prywatnym, Lednickim Aleksandrze, nie naszą rzeczą jest wspominać. Widzieliśmy w nim całe życie instytucję raczej, nie chcemy jednak utrzymywać, że nie miał on swego zakresu czysto osobistego, który mógł uwydatnić jego zalety i jednać mu przyjaciół, nie dbających o zakresy szersze żywota.

Łączył w sobie umiejętnie dwa światy: interesów osobistych, które traktował bardzo realnie, ze światem spraw publicznych, który się przedstawiał jego wyobraźni, jako mozajka interesów prywatnych różnej wielkości, klejona kompromisem.

Urodzonym był pośrednikiem. Oddałby panowanie za możność pośredniczenia. Wierzył w to, że korzyści wielokrotnego kompromisu w sumie dają zawsze więcej, niż samobytność. Taki też system doradzał nie tylko sobie, ale narodom.

Predestynowało go do tej filozofji nieokreślone pochodzenie z tego działu wód, ras i cywilizacyj, jakim była Mińszczyzna w środkowej Europie. Ideałem genjuszu stał się wkońcu dla niego Coudenhove-Calergis, mający we krwi pierwiastki wszystkich ras, zaludniających Europę, ideałem zaś interesu olbrzymia współdzielnia w postaci Stanów Zjednoczonych Europy. Być radcą prawnym takiego interesu — to niebylejaki cel dążeń dla adwokata.

Pozycję życiową Lednickiego i jego charakter doskonale charakteryzuje list b. rosyjskiego ministra spraw zagranicznych za rządów Kiereńskiego, — Tereszczenki, pisany do posła Szebeki. Oto ważniejszy urywek:

„Znane są Panu usiłowania, czynione przez lewicowego socjalistę szwajcarskiego, Grimma przy pomocy czy też

z wiedzą szwajcarskiego ministra spraw zagranicznych, Hoffmana. Znana jest również druga pokojowa ofensywa, niewątpliwie i Panu inspirowana, Erzbergera przy współudziale finansistów z państw centralnych i urzędowych informatorów. Trzecia próba, o której nie zdążyliśmy pomówić, odbyła się w okolicznościach następujących.

W połowie sierpnia 1917 r. powrócił ze Stokholmu A. R. Lednicki, który tam wyjechał z pozwolenia i z aprobatą rządu rosyjskiego na konferencję polskich działaczy politycznych. Pierwsze moje widzenie się z nim po jego powrocie nastąpiło u mnie, w gabinecie w min. spraw zagranicznych późnym wieczorem, ponieważ bardzo nalegał, aby go przyjąć niezwłocznie, tak, że umyślnie wyjechałem z posiedzenia Rządu Tymczasowego, aby z nim się widzieć.

Rozmowa nasza zaczęła się od krótkiego sprawozdania z konferencji, która się odbyła w Stokholmie i oceny jej wyników. A. R. Lednicki zatrzymał się szczegółowo na charakterystyce uczestników, a zwłaszcza na roli, jaką odegrał hr. Rostworowski, który według niego przybył nie tylko za pozwoleniem rządu niemieckiego, lecz w charakterze jego pełnomocnika. Hr. Rostworowski, będąc przejazdem w Berlinie, odbył szereg konferencyj z kierownikami polityki niemieckiej. Stąd rozmowa zeszła na sytuację w Niemczech, a Lednicki, powtarzając jakoby to, co słyszał, począł dowodzić, że Niemcy zdają sobie sprawę z konieczności zawarcia najrychlejszego pokoju, ale że i dla Rosji dalszy udział w wojnie staje się samobójstwem, że wiadomo mu, iż państwa centralne zgodziłyby się pójść na układy z Rosją na warunkach bardzo dogodnych, których Rosja nie osiągnęłaby nawet w razie t. zw. *„paix blanche"*, stanowiącego jedyną obecnie możliwość zakończenia wojny. Rostworowskiemu znane są te warunki. I wyjąwszy z kieszeni notes, Lednicki odczytał mi z niego kilka oderwanych notatek: przywrócenie dawnych (do r. 1914) granic, przyłączenie części Galicji Wschodniej, układ odpowiadający interesom Rosji w sprawie cieśnin, autonomiczność w sprawie umów handlowych.

Wysłuchałem go do końca, nie przerywając, ale potem odrazu przeciąłem rozmowę uwagą, że paszport dyplomatyczny, który mu dałem w innym celu, nie dawał mu pełnomocnictwa do prowadzenia rozmów na tematy, które — gdybym go nie znał — mogłyby go skompromitować; sucho przerwałem rozmowę i pożegnałem go. Usiłował wyjaśniać, że on tylko uważał za obowiązek powiadomić mnie o wszystkiem, cokolwiekby nawet przypadkowo słyszał, a co mogłoby interesować Rosję etc. Na tem pożegnaliśmy się.

Nazajutrz około godz. 1-ej po poł. byłem w interesie u Kiereńskiego. Powitał mnie słowami:

— Właśnie przed chwilą był u mnie Lednicki. Skąd mu przyszło do głowy faktorować między nami a Niemcami?

Pokazało się, że A. Lednicki od rana i pomijając mnie wbrew zwyczajowi, prosił Kiereńskiego o posłuchanie i powtórnie wyłożył program Rostworowskiego. Kierenskij przyjął jego deklarację tak samo, jak ja. Prosiłem Kiereńskiego, aby mi pozwolił na moją odpowiedzialność kwestji tej w rządzie nie poruszać".

Fakt opisany zaszedł w czasie, gdy Alek. Lednicki zajmował przy rządzie rosyjskim stanowisko reprezentanta i likwidatora spraw polskich, z rangą nawet ministra, urzędowaw Pałacu Zimowym. To go poniekąd tłumaczy, że nie bardzo zdawał sobie sprawę, czyim interesom służy, polskim czy rosyjskim. Bodaj gorsza rola w tej sprawie była ziemiaŀnina polskiego Wojciecha hr. Rostworowskiego, który biorąc na siebie godność męża stanu, miał obowiązek obudzić w sobie sumienie polskie. A cóż oni obaj robili? Parli do układów między Rosją a Niemcami, któreby utrwaliły dawne rozbiory, I to na życzenie Niemiec, które czuły już zbliżającą się katastrofę.

Dokument powyższy odczytany był przed dziesięciu laty w warszawskim sądzie okręgowym na procesie, wytoczonym przez Lednickiego „Gazecie Warszawskiej" za to, że uznała tego typu działanie za zbrodnię wobec Polski. A było takich faktów więcej, przedewszystkiem zniszczenie armji polskiej w Rosji[1]), w tym celu, aby nie potęgować walki z Niemcami i co najważniejsza nie dawać broni w ręce polityków obozu narodowego. Dlatego też potem zlikwidowano i armję idącą z zachodu.

Ludzka rzecz jest błądzić. Ale już nieludzką, raczej szatańską rzeczą jest, gdy to błądzenie jest systematycznie organizowane i pokrywane fałszem. Proces rzeczony ujawnił zdumionej Polsce, którą systematycznie oduczano od patrzenia prawdzie polskiej w oczy, że metody polityczne Lednickiego mają wielu zwolenników. Lednickiego brało w obronę kilkudziesięciu wskazanych przez niego świadków, a gdy po czternastu dniach rozpraw zapadł niekorzystny dla niego wyrok, bezpośrednio potem odbył się w hotelu Bristol tłumny bankiet, zwołany na cześć Lednickiego i w celu zaprotestowania przeciwko wyrokowi. Po bankiecie — raut, na który się stawił — jak pisano w prasie masońskiej — „kwiat intelektu polskiego". Historykowi epoki proces ten i manifestacje oddały tę przysługę, że ujawniły grozę orgazacji masońskiej, toczącej niby rak organizm polityczny Polski.

Lednicki od młodości przez tę organizację był wychowywany, oddał jej na usługi swoje talenty i tak w nią się wcielił, że nie był już zdolny kształtować swej jaźni według poczucia narodowego. Front jego moralny, jako człowieka publicznego, z ambicjami dokonania rzeczy doniosłych w życiu publicznem, z odpowiedzialnością za postępki — zwrócony był do tego *forum*, którego intencje przenikał. Ustosunkował się sumiennie do tej woli tajemnej, mógł się skłócić w postępowaniu z każdą polityką, jawnie działającą, z interesami każdego narodu, którego się dotknął, nie skłócił się jednak nigdy z polityką żydowską, u której masonerja jest w posługach.

Nie można kłamać nawet nad cudzym grobem. Śmierć jednostki jest rzeczą poważną, ale tragiczniejszy jest los narodu, prowadzonego do przepaści. Na usprawiedliwienie Lednickiego będzie więcej można powiedzieć, niż na obronę tych, którzy mając Polskę gotową do życia pełnego i drogi działania jawne, jeszcze szukają pokrzepienia serc i myśli w konspiracjach międzynarodowych. Lednickiego tłumaczą warunki miejsc i czasów, w których działalność poczynał. To nie była twórczość polityczna, to była gra. Wygrywał Polskę w Rosji, Rosję — w Polsce. Dublował, ale musiał przegrać. Co było ostatnią jego stawką, niewiadomo. Ludzie giną w tej sferze w różny sposób, ale w razie zabójstwa nie wiadomi są sprawcy, w razie samobójstwa — niewiadome są powody. Wystarczy rozumieć sens ogólny rzeczy.

[1]) Ob. książkę Z. Wasilewski „Proces Lednickiego, Fragment z dziejów odbudowy Polski, 1915 — 1924", dokumenty i materjał stenograficzny). Warszawa 1924. Str. 510. Wyd. „Gazety Warszawskiej". Cena zł. 5.

NOWE KSIĄŻKI

Grabowski Tadeusz. Krytyka literacka w Polsce w epoce realizmu i modernizmu. (1863 — 1933). Poznań 1934. Pozn. Tow. Przyjaciół nauk. S. 317.

Cywiński Stanisław. Literatura w Wilnie i Wilno w literaturze. Odbitka z monogr. „Wilno i ziemia wileńska, II". S. 34 in pol.

Pawlikowski Michał. Człowiek w obliczu gór. Odbitka z „Przegl. Współ.". Kraków 1934. S. 38.

Rocznik Literacki. 1933. Warsz. 1934. Instytut Literacki. S. 348.

Ruch Literacki. Czerwiec 1934.

Zajcew Paweł. Szewczenko i Polacy. Warsz. 1934. Biuletyn polsko-ukraiński.

Fularski Mieczysław. Światowy Związek Polaków z Zagranicy. Warsz. 1934. S. 16.

Brosseau A. prêtre. *La propagande communiste est une propagande juive.* Ottawa. 1934. S. 24.

OFENSYWA

OPOZYCJA POD HRADCZYNEM

W KRAJACH rządzonych parlamentarnie, to jest po staremu, prasa opozycyjna, mając wszelkie t. zw. swobody, rozwija się bujnie i szeroko. W dyktaturach i półdyktaturach czyli *semi*-dyktaturach oczywiście jest jej gorzej, albo jej wogóle wcale nie jest, bo jej niema. Im więcej *semi*, tem dola solidnej, uczciwej, niezależnej prasy jest cięższa, gdyż *régime quasi* lub *semi*-dyktaturalny musi dla *decorum* stawać *contre coeur* także w obronie żywiołów rozkładczych, centrypetalnych, odśrodkowych i w orędownictwie *semi*, szykanami i konfiskatami gnieść, obezwładniać i pauperyzować opozycję dośrodkową, konstruktywną i dosłownie państwową. Taki układ stosunków w Europie.

W Czechosłowacji zatem prasa obozu narodowego miała możność rozwinąć się świetnie. Co prawda, miała też i organizatorów-kalkulatorów pierwszej klasy, no, a w terenie naród, który konsumuje dużo druku, i wogóle czyta, aczkolwiek jest go w państwie niecałe 55%, wobec czego Niemcy (trzy i pół miljona), Polacy, Węgrzy, Słowacy, Rumuni, żydzi i żydy mają oczywiście swoją prasę, a pojemność rynku dla prasy czeskiej mocno zmniejszona. Już to jednak trzeba przyznać, że cała organizacja narodowego pozycyjnego obozu czeskiego mogłaby wszędzie służyć za wzór i model. Niema miasteczka, niema sioła, gdzieby nie było zwartej, mocnej komórki partyjnej. Nie tylko na czas wyborów — ale stale. Choć od samej odbudowy nowego państwa Kramarzowcy, jako rusofile, a co więcej, caroluby, odsunięci są od steru, a państwem dyryguje masonerja umiarkowanie socjalistyczna, to jednak obóz dr. Kramarza potrafił przechować nietknięty cały swój przedwojenny autorytet, i co więcej, swą dynamikę i zdolności ekspansji. Nie tylko się nie kurczy, ale wprost przeciwnie: rośnie, tężeje i może wnet już zgłosi większy regestr swoich postulatów i pretensyj. W dużej mierze zawdzięcza to swojemu wodzowi dr. Kramarzowi. Sędziwy, nieco schorowany przedwojenny mąż stanu mieszka stale w Pradze, na tym samym Hradczynie, gdzie rezyduje od początku jego antagonista zwycięski *graet-old-man* prezydent Masaryk. Ożeniony z Rosjanką, nie zataja z dużą przekorą egzaltacji nad starą carską *matuszką Rossiją*. Nie przeszkadza mu to atoli w dyrygowaniu obozem nie epizodycznie, ale ze stałą ciągłością, od lat szesnastu bez przerwy, gdyż dr. Kramarz nigdy Pragi wogóle nie opuścił. Więcej praktyk i realista, niż ideolog i teoretyk, miał też wyjątkowo szczęśliwą rękę w doborze konstruktorów, techników i majstrów maszyny prasy narodowej. Rezultaty widoczne i imponujące. W tym „małym" narodzie to „małe" stronnictwo opozycyjne prasę swą postawiło na wysokim poziomie.

W stolicy mają Kramarzowcy dwie potężne fortece: „*Narodni Listy*" wychodzą w dwóch wydaniach: ranne drukuje 25 do 30.000, wieczorne — 40.000. To jest monitor ideowy, w którym od czasu do czasu pojawiają się dyrektywne, krótkie, zwarte przykazy i orędzia „starszego pana". Druga twierdza czeskiej „Endecji" to popularna „*Narodni Politika*", mająca największy nakład w Czechosłowacji bo od *140.000* normalnie, do *320.000* w dni świętalne lub uroczystości (kilka razy doszła już „*Narodni Politika*" do *360.000*). Redakcje tych organów mieszczą się w gmachach całkiem nowoczesnych i podobne są do uli. Niedawno redakcję amerykańską paryskiego „*L'Intransigeant*" opisał nam p.St. Herwill, omijając tylko jeden szczegół ważny, że dziennik ten jest własnością domu Dreyfuss, tj. lichwiarzy zbiorowych, bogatszych od Rotszyldów. Oczywiście takich wspaniałości i przepychów jak Dreyfussowski „*L'Intransigeant*", ani „*Politika*", ani „*Listy*" nie mają, w każdym jednak razie warunki egzystencji całkiem już europejskie; współpracownicy - publicyści, mieszkający pod Pragą we własnych domkach, dostają się do swego warsztatu pracy przeważnie we własnych autach. Tu trzeba jednak dodać, że i prowincjonalne miasta nie kontentując się stołecznemi „endeczkami" posiadają też swoje dzienniki Kramarzowskie: Pilzno „*Czeski Dziennik*" (10.000 nakładu), Ostrawa „*Morawsko-Śląski Dziennik*", a słowacka „mała" Bratisława „*Narodni Dziennik*", który doszedł do poważnej cyfry 20.000 normalnie, a 35.000 w święta i niedziele.

Tygodników półpolitycznych w duchu i w ideologji narodowo-demokratycznej wychodzi w tem kraju o tak wielkim procencie mniejszości narodowych prawie dwadzieścia; niektóre biją po kilka, niektóre po kilkanaście tysięcy.

W stosunku do nas (i do swojej mniejszości polskiej) prasa Kramarzowska w ostatnim roku zachowała znacznie poprawniejsze stanowisko od prasy socjalistyczno - szowinistycznej. Znamienny był pod tym względem artykuł „*Narodnich Listow*" z 20 kwietnia, ostro krytykujący wirtuozowskie intryganctwa i przesadę w wasalstwie paryskim „Dzieciom Wdowy".

Przed prasą narodową w Czechosłowacji staje teraz jednak inne, bardzo ciężkie a niecierpiące zwłoki zadanie. Zwrócić musi na nie uwagę publicysta od trzydziestu z góry lat najprzyjaźniej pobratymczemu narodowi oddany, w Unji Czesko - Litewsko - Polskiej przyszłość promienną widzący. Piękny kraj pod suggestjami suflerów paryskich (nie francuskich!) stał się jakiemś azylum wszelkich szumowin rewolucyjnych. Eufemicznie nazywa się to „wyspą demokracji", czy „oazą wolności" *(sic)*. Z Pragi Złotej zrobił się jakiś Hotel Trockistów i Freudystów. Porozbijały tu namioty i handlują narkotykami rozmaite z pod ciemnej gwiazdy szmoki i szmarotzery wiedeńskie, berlińskie „*Simplicus*", „*Weltbühne*", „*Schaubude*", „*Der Wahre Jude*"... Ongiś doskonale redagowany po niemiecku czeski organ stołeczny nie różni się teraz duchem od syjonistycznej „*Morgenzeitung*" i „*Bendziner Sztymme*". Rozwielmożnione i rozbuchane, pseudo-zasymilowane i czesko-patrjotyczne żydostwo praskie w arogancji i megalomanji doszło do nadirow. Wnet już poseł Angelo *(sic)* Goldstein zażąda, aby Trockiego zaprosić na Hradczyn.

A te żydy, i lokalne i korzystające z azylu, to jednak „*unsichere Kompanen*". Teraz wam bakę świecą i na *hinterland* psioczą w niebogłosy. Ale niech się Hitler jeszcze raz potknie (tembardziej przewróci) i Hohenzollernowie (po Habsburgach) wrócą, to żydzi prascy pierwsi przejdą na niemiecki brzeg. O wdzięczności za azyl i „*Simplicus*" nie będzie mowy. Pierwsi się połącza z 3 i pół miljonami sudeckich Niemców! I pierwsi zaczną podsuflerowywać *demembrement* między Austrję, Niemcy, Węgry, ewentualnie Polskę i... Syjon. Gdyby padł Hitleryzm, pierwsi się zgłoszą do Berlina jako awangarda, *welt*-awangarda rewindykacyj germańskich. Z powrotem staną się najżarliwszymi i najhałaśliwszymi chorążymi wszystkich germańskich pretensyj do świata. I znów nowy Lissauer skomponuje mowy „*Hassgesang*" i „*Gott strafe England*."

Czas poprzepędzać ze Złotej Pragi tę zganianinę rozwścieklającą dzień w dzień waszym kosztem *furor teutonicus!* Wcześniej, czy później dwa wybrane się pogodzą. A na kim się skrupi?...

Narodowa Kramarzowska prasa imponująca, to „rozbudowany" aparat opinji publicznej. Czeka go teraz duża praca i piękne zadanie: przeszkodzenie wasalom masonerji z *rue Cadet* w przekształceniu Złotej Pragi w jakąś pół-Genewę, nieco Tel-Awiw, cokolwiek Kraków, prawie Będzin, omal Saloniki, Whitechapel i t. p. *Bevare of Simplicus!* Ostrzega się przed Goldsteinami!

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

W związku z uwagami, zamieszczonemi w „Głosach" (w nr. 34) na temat: *sunt latrinae rerum*, wspomnieć należy, że żydki piszące potrafią też podrabiać modny w pewnych sferach neo-romantyzm. Opowiadają, że jeden z nich, w randze poety sanacyjnego, podjął temat Schillera, przystosowując do stosunków dzisiejszych historję z pierścieniem Polikratesa, zapisaną u Herodota. Jak wiadomo, tyran Samosu, gdy mu się zabardzo wszystko wiodło, za radą przyjaciela egipcjanina, żeby się wykupić od nieszczęścia, rzucił do morza co miał najcenniejszego, — pierścień. Tymczasem los prowokowany zrobił mu jeszcze jedną niespodziankę: pierścień znalazł się w rybie idącej na jego stół.

Żydek obmyślił, że tyran rzuca pierścień do wychodka. Cóż morze! Do morza nie miał zaufania. Aliści po roku — było to na letniem mieszkaniu — gdy podano na obiad rosół, Polikrates, złakomiwszy się na marchewkę, zdumiony poczuł w zębach coś twardego. Był to jego pierścień!

Otóż ogrodnik, użyźniając ziemię, zaczerpnął — snadź (jakby powiedział Miriam) — wraz z treścią ów klejnot. Nasionko rozrosło się pośrodku w piękną marchew, a ta znalazłszy się w ten sposób w złotej obręczy, pokryła ją swem bogactwem.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205 80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM